NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 26 sierpnia 1905 r. Nr. 35.

Mordowanie dzieci w Odessie.

(Do artykułu na stronie 13).





Żniwa w Ameryce: Młócenie pszenicy w Kalifornii.

Żniwa w Ameryce.

Kiedy w pogodny a skwarny dzień ruszymy w pole i przypatrzymy się żmudnej pracy wieśniaków, kiedy zobaczymy, że ludzie ci pracują wśród wielkiej nieraz spiekoty dzień cały własnemi rękami jedynie, kiedy porównamy nasze gospodarstwo z gospodarstwem amerykańskiem, to sami wkrótce musimy przyznać, że przemysł w Ameryce mógł rozwinąć się tylko dzięki kolosalnym przewrotom i zmianom, jakie wprowadziły na każdem niemal polu maszyny, dotychczas u nas mało lub całkiem nieznane.

Lecz wglądnijmy w środki, jakie pozostają do rozporządzenia przy żniwach naszym wieśniakom a Amerykanom.

U nas musi wieśniak wytężać wszystkie siły, gdy przyjdzie mu dzień cały pracować w takiej szalonej temperaturze. Obok najzwyklejszych narzędzi gospodarskich, niezbędnych do pracy jak najprymitywniejszej, nie mamy żadnych prawie maszyn, któreby mogły pracę wkładaną przez nas bądź to zastąpić pracą zwierząt lub natury, bądź też umożliwiły pracę mniej dogodną zmienić na szybszą, dogodniejszą i mniej uciążliwą. U nas nawet nie marzą o maszynach, któreby pracę, wykonywaną przez całe szeregi wieśniaków, uskuteczniały same, bez żadnego natężenia pracujących na roli.

W Ameryce tymczasem rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Dzięki niezwykłej pomysłowości Amerykanów praca postępuje szalenie prędko, do tego stopnia, że umożliwia im zasiewanie kolosalnych obszarów, obszarów, o jakich my nie możemy mieć nawet wyobrażenia.

Fenomenalny ten przewrót w dziedzinie gospodarstwa datuje się od r. 1831, kiedy po raz pierwszy wystąpiła do pracy nowowynaleziona żniwiarka. Rzecz naturalna, że działo się to na ziemi amerykańskiej w Rockbridge Comty w Wirginii.

Rozumie się jednak, że nowowynaleziona żniwiarka nie była jeszcze wydoskonalona pod każdym względem, że pozwoliła jednak obsiewać dalekie obszary, to już było cennym nabytkiem, ważnym krokiem naprzód. Główną słabą stroną było to, że wymagała jeszcze ludzi do układania i wiązania snopów.

Umysły ludzkie wysilały się nad tem, by cenny ten nabytek możliwie najlepiej udoskonalić i ciągnąć z wynalazku jak największe korzyści.

Usiłowania te nagrodzone zostały, bo wkrótce ukazała się maszyna, która już sama wiązała a z niebywałym entuzjazmem przyjęto w jakiś czas później nowowynalezioną maszynę, najcenniejszy nabytek dla rolników. Maszyna ta zastąpiła pracę wieśniaków jak najzupełniej, spełniając absolutnie wszystkie ich funkcye.

Wprost nie do uwierzenia, że nowowynalezione maszyny rzną, młócą zarazem, oczyszczają i napełniają w worki zboże na poczekaniu.

Szalony ten przewrót wpłynął, rzecz zrozumiała, na rozwój gospodarstwa amerykańskiego w wysokim stopniu, pozostawiając nasze gospodarstwo daleko poza sobą.



Nowy rektor politechniki lwowskiej: Seweryn Widt.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok illustracyę, przedstawiającą olbrzymią maszynę żniwiarkę w czasie żniwa w Wirginii, maszynę, która rznie, wiąże i młóci zboże na poczekaniu, oraz wielką młockarnię w Kalifornii.



Żniwa w Ameryce: Maszyna, która zboże rżnie, wiąże w snopy, młóci i czyści odrazu, w ruchu.

Nowy rektor politechniki lwowskiej.

Politechnika lwowska uzyskała na rok bieżący nadzwyczaj dzielnego i energicznego kierownika w osobie profesora Seweryna Władysława Widta.

Nowomianowany rektor urodził się w Samborze w roku 1862. Po ukończeniu wyższej szkoły realnej we Lwowie zapisał się na inżynieryę w szkole Politechnicznej. Wybitne zdolności, jakiemi odznaczał się wśród swoich kolegów, dospomogły mu do złożenia państwowego egzaminu. Złożył go profesor Widt z odznaczeniem. Jako asystent katedry geodozyi bezpośrednio po złożeniu egzaminu otrzymuje stypendyum imienia Franciszka Józefa, które mu miało umożliwić dalsze kształcenie poza granicami kraju w dziedzinie metronomii Za granicą pozostawał prof. Widt przeszło cztery lata kształcąc się na uniwersytetach we Wiedniu, Berlinie, na politechnikach w Charlottenburgu i Hannowerce; pracował także prywatnemi jako asystent w naukowych instytutach Niemiec i Francyi.

W r. 1890 powraca do kraju, zyskuje patent inżyniera cywilnego, a skoro opróżniła się katedra geodozyi, po śmierci prof. Dominika Brożka, obejmuje ją za zgodnem życzeniem wszystkich współkolegów. W trzy lata później jako prof. miernictwa pracuje usilnie na polu miernictwa praktycznego.

Profesor Widt wychował już wielu dzielnych i zdolnych ludzi, bo też nowomianowany rektor nie szczędzi trosk i trudów, byle tylko młode pokolenie wykształcić pod każdym względem. Podajemy obok portret uczonego profesora.

Lato w Nowym Yorku.

W czasie największej kanikuły, gorąca wprost nie do wytrzymania, zmuszeni są ludzie oddawać się nazbyt uciążliwej nieraz pracy.

Praca ta wymaga wiele natężenia, niekiedy formalnego zaparcia się, pochłania też w wysokim stopniu siły i zdrowie. Bo jeżeli zważymy tylko, że wielu nie może pozwolić sobie na przeciętny zresztą zbytek wyjechania gdzieś na wieś w celu wytchnienia i zaczerpnięcia świeżych sił do dalszej pracy, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że praca wśród tak niezwykle wysokich temperatur, jakie bywają teraz na porządku dziennym, wymaga stanowczo o wiele większego nakładu sił i wyczerpuje daleko prędzej, niż w innych warunkach, to zrozumiemy natychmiast tę szaloną wprost liczbę osób, które dzień w dzień szukają w nurtach zimnej wody bodaj częściowej ulgi.

Frekwencya kąpiących się osób w większych zwłaszcza miastach wzmaga się nieustanie, a przedsiębiorstwa kąpielowe robią na tem niezwykłe majątki.

Jakkolwiek starają się one uprzystępnić tę tak miłą rozrywkę możliwie największej ilości osób, spragnionych orzeźwiającej kąpieli, to jednak wiele osób zmuszonych jest czekać dłuższy czas na swą kolej. co. rzecz zrozumiała, nie jest wcale zbyt miłem, zwłaszcza dla osób, którym każda minuta straconego czasu poważny uszczerbek przynosi.

Niedogodności tej starano się zapobiedz niedawno w Nowym Yorku.

Chciano zapobiedz temu choć w części i przy dobrych chęciach rzecz załatwiono pomyślnie.

Kąpieli zimnej potrzebują przedewszystkiem dzieci, które nie mogą opłacać łazienek, nie mając na to potrzebnych funduszów. Dla nic więc należało urządzić jakieś miejsca kąpielowe.

W tym celu zbudowano kilka basenów niezwykłej wielkości, gdzie woda ustawicznie się zmienia. Kąpieli tu zażywać może każde dziecko dowoli, co dla ludności uboższej, nie mogącej łożyć wydatków na tę najbardziej hygieniczną potrzebę, jest niesłychanem dobrodziejstwem.

Nie trzeba chyba dodawać, że baseny te umieszczane na pierwszorzędnych ulicach, przepełnione bywają kąpiącymi się. Szczególnie teraz w czasie tak niezwykłych upałów!



Żniwa w Ameryce: Wielka amerykańska maszyna do młócenia.

Na zamieszczonej illustracyi widzimy jeden z takich basenów, pełny kąpiących się małych dzieci. Ich rozpromienione twarzyczki zdają się najwymowniej świadczyć, że wynalezienie i wprowadzenie podobnych basenów jest dla nich wielką przyjemnością.

Już to, co prawda, Amerykanie są i oryginalni i praktyczni!

Bohaterski czyn żandarma.

Pożary, począwszy od najstraszniejszych, co w gruzy zmieniają przepiękne budowle i z bogaczy znanych powszechnie, robią w jednej chwili zapomnianych biedaków i nędzarzy, a skończywszy na nieznacznym ogniu, który łatwo można zlokalizować, zdarzają się bardzo często. Co jest tego powodem? Główną przyczyną tych nieszczęść obok piorunów, których uderzenie zapala cały budynek w mgnieniu oka, jest nieostrożność ludzka, ta nieświadomość ich, że drobna iskra częstokroć wznieca wielkie pożary.

Z tego ostatniego właśnie powodu wybuchł niedawno pożar w Sokalu.

Przez nieostrożność jednego z członków rodziny stanął w Perespie pod Sokalem dom gospodarza Mikołaja Bracha w promieniach. Budynek straszny przedstawiał widok. Mordercze języki płomienia coraz szerzej obejmowały gmach cały, niosąc śmierć wszystkim, którzy nie zdołali opuścić nieszczęsnego domu. W płonącym domu pozostały dzieci Bracha, których nikt nie odważył się ratować. Śmierć ich była nieunikniona i pewna, tem bardziej, że dom cały groził zawaleniem. A nie znalazł się nikt, ktoby życie swe odważył się narazić na pastwę płomieni. W chwili największego niebezpieczeństwa stanął przed zrozpaczonym tłumem patrolujący tam żandarm Jan Jaworowski. Jaworowski owinął się prześcieradłem, wskoczył do walącego się już domu i za chwilę ukazał się z dwojgiem drobnych dzieci na ręku. Bohaterski czyn żandarma nagrodziła licznie zebrana publiczność gromkimi oklaskami, a nie wątpimy, że i ze strony władzy spotka go należna mu nagroda.

* * *

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy Jaworowski wynosi dzieci z płonącego budynku.



Lato w Nowym Jorku: Dzieci, kąpiące się podczas upałów w basenach na ulicach.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

13 (Ciąg dalszy).

— Wiecie, koledzy — odezwał się Waldman — słuchając waszej rozmowy, zdawało mi się, że jestem na dyspucie scholastycznej. Dziś, w XX wieku, gdzie produkcya, handel, koleje, wymiana wzajemna tak upodobniają ludzi, że dopiero język zdradza różnicę, mówić o jakiejś duszy narodu, jest co najmniej dziecinną zabawką, godną tych dociekań, w jakim języku pisał Adam do Ewy miłosne listy. I to mówi Żalecki, prezes socyalno-demokratycznej „Pochodni“ — zaśmiał się z ironią — i w jakim kłopocie znalazłbyś się, gdybym zapytał, w czem widzisz odrębność polskiej duszy od niemieckiej czy francuskiej?

— Kolego Waldman — uśmiechnął się Walczak — galopujecie w kierunku... nonsensu.

— To samo ja myślę o was — skrzywił się Waldman.

— Ty masz wątpliwości co do duszy zbiorowej — uśmiechnął się Żalecki — otóż porównaj tylko objawy tej duszy w jednym i drugim narodzie. Weźmy dla przykładu nas i Niemców. Nasze tańce narodowe, mówię o chłopskich, nie o salonowych, są: mazury, oberki, kujawiaki, krakowiaki... co za siła, jaki rozmach, jaki rytm dziarski, hulaszczy, ile fantazyi i przeskoków... a tam walc mniej lub więcej marzący, namiętny na zimno, obmyślany, powolny; albo szteyer, z jednostajnem, drobno siekanem tempem. Porównaj małopolskiego chłopa: śmiały, zawadyacki, nieopatrzny, pochopny do każdej awantury... a niemiecki chłop poważny do ociężałości, systematyczny, zawzięty, mszczący się na zimno, wytrwały w pracy, ale i w nienawiści. Nasze malarstwo nie dlatego się wyróżnia, że kostyumy są odmienne, ale że chłop, czy szlachcic w ruchu, postawie, wyrazie twarzy jest inny, ale że nastrój krajobrazu jest odmienny. Najbardziej zrównoważony poeta polski, Mickiewicz, jakże dalekim jest od olimpijskiego spokoju Goethego, a cóż dopiero Słowacki w stosunku do Schillera. Porównaj tylko różnicę temperamentu, dążeń, ideałów, jak one przedstawiają się w historyi jednego narodu, a drugiego, chociażby tylko w podbojach i ich systemie. A teraz czy możesz wątpić, że pomiędzy zbiorową duszą jednego narodu, a duszą drugiego, istnieje olbrzymia różnica?!

Waldman, gryząc paznokcie, patrzał drwiąco na Żaleckiego, uśmiechał się lekceważąco, a gdy ten skończył, spytał kpiącym głosem:

— Czy ty powiedziałeś już wszystko?

— Pozwolicie, że dodam słów kilka — odezwał się Walczak — uznając różnicę narodowości, a że ona jest dzisiaj, każdy to przyzna... musimy my, jako partya, liczyć się z tym faktem i brać w rachubę cały naród, bez względu na państwowe granice i zastosować do narodu naszą taktykę.

— To oportunizm, to schlebianie grubym instynktom tłumu, to taktyka niegodna socyalnej demokracyi — zawołał Waldman — my liczymy się z państwem realnem, a nie z utopią.

— Ależ wy, kolego Waldman — zaśmiał się Walczak, pocierając krótkie włosy — jesteście gorszym oportunistą ode mnie.

— Dowód!? Dowód!? — zaperzył się.

— Czy my w przyszłości mamy zamiar zatrzymać ustrój państwowy?

— Po co to pytanie? Kiedy wiecie, że nie chcemy i dążymy do usunięcia.

— A jednak dziś, przez oportunizm liczycie się z tem państwem, dlatego, że ono istnieje. Otóż i my liczymy się z narodem, który również istnieje i wierzcie mi, że na silniejszych podstawach, aniżeli klepki różnych narodów trzymane obręczem, zwanym państwem austryackiem.

— To gra słów — zaśmiał się z przymusem.

— Nie wojujcie zarzutem oportunizmu — rzekła Helena — bo on przeciw wam się zwraca.

— Więc wy wszyscy przechodzicie do socyalpatryotów — śmiał się głośno — ja mogę się tylko dziwić, dlaczego wy należycie jeszcze do „Pochodni“, bo ona nic nie ma wspólnego z polskim patryotyzmem

— Mój patryotyzm, jak nazywasz — odciął Żalecki — posłuży mi tylko do skuteczniejszego wywalczenia praw robotników, a twój ortodoksyjny socyalizm wyłączy cię z szeregu walczących.

— Już ja wyjdę lepiej, trzymając z potężną partyą międzynarodową, aniżeli ze secesyą partykularną, szowinistyczną, niszczącą ideał socyalistyczny.

— A któż z nas mówił — obruszył się Walczak — że odrzuca ideał socyalizmu? My z tobą, kolego, różnimy się tylko co do sposobu prowadzenia walki o wolność i prawo robotników, ale ideał pozostaje wspólny.

— Was jest czworo, a ja jeden — rzekł, wstając od stołu — ale zobaczymy, co powie walne zgromadzenie „Pochodni“, ono rozstrzygnie między nami. Bywajcie zdrowi... do widzenia!

Po jego wyjściu zapanowało dłuższe milczenie. Żalecki chodził po pokoju nierównymi krokami, przystawał, znów szedł, patrzał przez okno, widać było, że coś ważył w sobie. Walczak siedział chmurny, bawił się ołówkiem, wreszcie mruknął do siebie półgłosem:

— Stało się!

Helena spojrzała na niego i leciutki uśmiech zadowolenia przebiegł po jej wyrazistej twarzy.

Niemiłe to milczenie przerwał dźwięczny głos Olgi, która patrząc kolejno na wszystkich pogodnemi oczyma, mówiła spokojnie:

— Będę z wami zupełnie szczerą.. Przez dwa dni walczyłam ze sobą, chcąc się zmusić do dawnego zapału, nie udało mi się. Przyszłam tutaj i słowa kolegów, nie tyle rozjaśniły mnie, jak raczej udowodniły, że jeśli chcę działać, to tylko wśród mego narodu, z nim wspólnie cierpieć, walczyć, a gdy przyjdzie chwila, zginąć w imię naszej idei. Nie mogę nadal należeć do „Pochodni“, nie wystarcza mi, jak mówi kolega Walczak, ideał teoretyczny, chcę go mieć żywym, dotykalnym.

— Ja, Olgo, z tobą — zawołała Helena.

— Zaraz... zwolna, koleżanki, zwolna — uśmiechnął się, przystanąwszy przy stole — my nominalnie należymy do partyi, stoimy na placówce, a tej nie opuszcza się samowolnie, pokryjomu. Zwołamy walne zgromadzenie, wytłómaczymy się, koleżanka Borwicz odda kasę, ja złożę przewodnictwo... i wolni obmyślimy plan działania z koleżankami.

— Więc wy z nami — zawołała uradowanym głosem Helena i spojrzała badawczo na chmurnego Walczaka.

— Żalecki — rzekł Walczak z lekką goryczą — dlaczego mnie ignorujecie?

— Alboż wy małoletni? — zaśmiał się — czy daliście mi pełnomocnictwo?

— Otóż powiem wam to — zwrócił się Walczak do wszystkich — już przy założeniu „Pochodni“ żądałem wyłączności polskiego języka, bo mierzi mnie brak godności narodowej i lekceważenie ziemi naszej. Ja z chłopów i jako chłop kocham i szanuję tę ziemię... a tu różni plwali. Dlatego z wami trzymałem, koleżanki, bo czułem, że tli w was ta dusza narodowa, dość było spojrzeć na was, gdy byli ci dwaj towarzysze, a koleżanka Borwiczówna przyszła mi z pomocą...

— Ja? Wam? Złudzenie! — zawołała zaczerwieniona.

— Wiem ci ja, wiem, też mam oczy... ale jakoś to się uładzi, raz wy, drugi raz ja, idziemy razem, to się przygodzi. I wiecie, jakoś mi nie swojsko naradzać się tu, w tym lokalu, gdyśmy już faktycznie wystąpili z „Pochodni“. Mam ja izbę małą, co prawda, ale własną, może zejdziemy się u mnie... ktoś ma mi dać transport do Warszawy, będzie zaraz robota... czekam was za trzy dni o trzeciej popołudniu.

— Będzie robota! — zawołała Helena z błyszczącemi oczyma — to dobrze, liczcie na mnie!

— Walny z was chłop — uścisnął mu rękę Żalecki — będziemy z koleżanką Wojtyrską, przyprowadzę ją, bo znam wasz adres.

— Za trzy dni — podała mu rękę Olga — a walne zgromadzenie „Pochodni“, kolego Żalecki?

— Pojutrze!

VIII.

Żalecki wraz z Olgą i Heleną weszli o oznaczonej godzinie w ciemnawe podwórze wielkiej kamienicy, i Żalecki, wskazując na okna trzeciego piętra, rzekł:

— Tam gniazdo konspiratora.

Po wązkich, stromych schodach, wdrapali się trzecie piętro i weszli w długi, ciemny kurytarz, wspólny wszystkim mieszkaniom kawalerskim.

— Upatrujcie, koleżanki, numeru dwunastego... a ostrożnie ze sukniami, bo tu kawalerskie porządki.

Istotnie, w mrocznym kurytarzu można było dopatrzeć kawałki białego papieru, niedopałki cygar i papierosów, a pod nogami trzeszczały łupiny orzechów, okruchy węglowe i przyczajone leżały obierzyny owoców, na których poślizgnęły się koleżanki.

Z poza zamkniętych drzwi rozlegały się głośne rozmowy, urywane śpiewy, stuk kroków, co wszystko napełniało chaotycznym szmerem przesiąknięty kurytarz niezdecydowanymi wyziewami i zatęchłem powietrzem.

— Jest numer dwunasty — wskazała Helena drzwi.

Po zastukaniu weszli do jasnego pokoju z pobielonemi ścianami, które surowo odbijały od szarych murów przeciwległej kamienicy i żółtych drzwi.

Przy stoliku pod oknem stały dwa krzesła, przeznaczone dla koleżanek, a zydel, stanowiący zazwyczaj niezbędną część umywalni, dziś miał służyć dla Żaleckiego.

— Siadajcie — zapraszał gospodarz — jesteście punktualni, co wam się chwali. Na razie transportu nie otrzymałem, musiały zajść ważne przeszkody... ale to nie przeszkadza, że korzystając ze sposobności, omówimy rzecz samą i poweźmiemy plan działania.

W czasie jego przemowy, Olga z ciekawością oglądała mieszkanie studenckie, które po raz pierwszy widziała, a tyle się o niem nasłuchała.

W przeciwieństwie do brudnego kurytarza, pokój ten utrzymany był nadzwyczajnie czysto. Wiała z niego jakaś surowość klasztorna i nie było w nim nic, poza nieodzownie potrzebnem. Szafa, łóżko żelazne pokryte kocem, stolik z książkami, dwa krzesła i zydel z umywalni, stanowiły całe umeblowanie. Żadnego obrazka, fotografii, żadnej drobnostki, któraby wskazywała na upodobania mieszkańca.

Olga spojrzała z pewnem podziwieniem na niego, ona nie umiałaby wyżyć w tej celi, a cóż dopiero pracować.

— Wy, kolego — mówił Żalecki — jak przekonaliśmy się z rozmowy z Płużkiem, jesteście znani w kołach warszawskich...

— Znany nie tak bardzo... usłużyłem, gdy było potrzeba... i nie usuwałem się od roboty, kiedy polecono.

— I dawno jesteście w tej partyi? — spytała Olga.

— Czy wam to potrzebne? Po cóż pytać? Jestem, to dosyć — odpowiedział dość szorstko, siadając na łóżku. — Uważam jednak za swój obowiązek powiedzieć wam, że służba to ciężka i niebezpieczna... Nie uśmiechajcie się, koleżanko Borwiczówno, to nie są frazesy.

— Czy sądzicie, że straszne mi więzienie? — uśmiechnęła się Helena.

— Niech to was nie obraża, ale mówicie nieopatrznie, jak dziecko. Więzienie jest ciężkie, ale znosi się, pomijam kary i sposoby, aby was zmusić do zeznania, te są cięższe... ale idzie o sprawę, nie o wasze życie jedno, ale o życie potrzebnych ludzi w organizacyi.

— Rozumiem was — odpowiedziała poważnie.

— Widzicie, ja byłem dotychczas cztery razy w Królestwie, ale wrażeń miałem więcej, aniżeli dotychczas przez całe życie, no, a nie wychowałem się słodko.

— Czy są jakie formalności przy przyjęciu do partyi?

— Formalności? — uśmiechnął się — tyle tylko, że ktoś inny ręczy, iż wami nie powoduje nic innego, tylko chęć służenia dobrej sprawie To wystarcza, bo wy odpowiadacie sobą.. Muszę wam też powiedzieć, że nazwisk nigdy się nie mówi, ani swoich, ani cudzych. Są tylko imiona dowolnie obierane, od przypadku do przypadku.

— To mądre... dobrze obmyślane — chwalił Żalecki.

— Na jedno musicie się przygotować — mówił dalej Walczak — na razie jesteście tylko pionkami, które przesuwa niewidzialna ręka. Ten z organizacyi, który was wciągnął do roboty, przesyła wam przez kogokolwiek umówiony znak do was i rozkaz. Możecie go spełnić, to na ślepo i jak najdokładniej, z pilnowaniem godzin i minut, bo idzie o grubą stawkę, a nie możecie, nie wolno wam odmówić, bez podania przyczyny.

— A wiecie, ta pionkowatość człowieka, ta nieznana mi wola i ręka... nie należy do wielkich przyjemności.

— Przyzwyczaicie się, kolego. Zapewne, że inna rzecz radzić swobodnie, obmyśleć, dać możność inicyatywy w razie potrzeby, jak się to dzieje w naszych partyach, a inna rzecz iść nad brzegiem przepaści i trzymać się sznura przewodnika... ale taka metoda roboty i nie wolno zmieniać. Ale dosyć tej nauki — zaśmiał się swobodnie — bo i sam nauczyciel nie więcej wie od was.

— A kiedyż będziemy należeli do partyi? — spytała z pewnem zniecierpliwieniem Olga.

— Faktycznie już należycie, a formalnie...

Przerwał, gdyż dało się słyszeć trzykrotne szybkie stuknięcie. Zerwał się z miejsc i idąc do drzwi, szepnął Oldze:

— Za chwilę!

Otworzył drzwi szeroko, mówiąc:

— Witajcie, Pawle, wejdźcie...

W progu stanął mężczyzna, lat około trzydziestu kilku, w kapeluszu czarnym z wielkim rondem, z pod którego błyszczały bystre oczy. Spojrzał na zebranych i spytał:

— Swoi?

— Czy byłbym drzwi otworzył?

— Prawda, Stachu... pomóż mi wnieść walizkę, bo zemdlała mi ręka na twojej podłej drabinie, stoi pod drugiem okienkiem.

Wszedł do pokoju, zdjął kapelusz i palto, rzucił na łóżko i stając przed nimi, skłonił się grzecznie, na twarzy wesołej, okolonej krótką przyciętą, ciemną brodą, zawisł uśmiech przyjaźni i rzekł:

— Swój wita swoich... Jestem Paweł — podał rękę Oldze, Helenie i Bolesławowi Żaleckiemu, usłyszawszy wzajemnie ich imiona.

Wyjął papierośnicę i poprosiwszy panie o pozwolenie, zapalił papierosa. W porównaniu do Żaleckiego i wogóle socyalnych demokratów, był elegancko ubrany, miał kołnierzyk nieposzlakowanej białości i modnie zawiązaną krawatkę.



Żalecki, wskazując na okna trzeciego piętra, rzekł: Tam gniazdo konspiratora

— Cieszy mnie, że spotykam was tutaj, nie samego Stacha — mówił swobodnie, siadając na łóżku — mam wielki transport... widzicie, jaka walizka, a pełniuteńka. Sam Stach nie potrafi przewieźć... pomożecie mu?

— Bardzo chętnie — zawołała Helena i Żalecki; Olga milczała, nie wiedząc, jak poradziłaby sobie ze stryjostwem i trudnościami paszportowemi.

— Ależ ciężka... nie dziwię się, że omdlała ci ręka na schodach.

— Tam są skarby — uśmiechnął się — no, nie dla nas, ale dla spragnionych Królewiaków. Stachu, możesz jechać dziś o szóstej wieczorem?

— Dziś?... Zaraz obliczę czas — spojrzał na zegarek — czwarta za piętnaście, nie możnaby tak o dziewiątej?

— Jadąc nadzwyczajnym pociągiem sam jeden, wzbudzisz podejrzenie, a zwykły pociąg, mimo wielkich względów i uwagi, jakiemi cieszę się przemytnicy u policyi, nie zaczeka na ciebie — uśmiechnął się wesoło.

— A więc jadę — rzekł stanowczym głosem — czy to wszystko mam zabrać?

— Mężu szlachetny — zaśmiał się — byłbyś bardziej objuczony, aniżeli wielbłądy darami królowej Saby dla króla Salomona.

Przystąpił do walizki, otworzył i wyjmując paczki związanych broszur, ustawiał je na podłodze, opowiadając:

— Spóźniłem się o dwadzieścia cztery godzin, bo musiałem zmylić pogoń ajenta.... Już w Monachium spostrzegłem, że moja wspaniała postać zwróciła na siebie szczególną uwagę podejrzanej osobistości. Szpicel towarzyszył mi do Wiednia. W numerze hotelowym zostawiłem walizkę, opatrzywszy ją wiadomemi mi znakami — wyprostował się, zaprzestawszy wyjmowania z walizki — i gdy wróciłem do numeru, miałem dowód na walizce, że szpicel zbadał jej zawartość. Wsiadłem do pociągu na Kraków, a z Luksenburga wróciłem do Wiednia. Jestem pewny, że mój duch opiekuńczy z ramienia moskiewskiego, wypatruje mnie w Krakowie na dworcu, gdy ja wysiadłem na przedostatniej stacyi i furmanką przyjechałem. Sprawiłem mu przykry zawód, ale sam winien, dlaczegóż nie wsiadł do tego samego wagonu?

— Ja też przypuszczałem, że zaszło coś niezwykłego — rzekł Walczak.

— Omyliłeś się, bo to rzecz zwykła, że nas śledzą. Szpiegów i tajnych agentów włóczy się mnóstwo... Otóż, Stachu, te cztery paczki sam zabierzesz. Pierwsze dwie — wskazał na leżące broszury — oddasz w Częstochowie. Pociąg stoi tam dziesięć minut, wejdziesz do bufetu, zażądasz kawy białej, ktoś zbliży się i powie do ciebie: to pan Paweł, temu oddasz paczki. Drugie dwie zawieziesz do Piotrkowa i mając brudne ręce, zajdziesz do umywalni. Tam będzie walizka i włożysz w nią te paczki — a widząc zaciekawione twarze — jeśli chcecie, weźcie po egzemplarzu — rozdarł broszury.

— Rozumiem — odpowiedział Walczak.

— Możesz wrócić, ale bezpieczniej dla ciebie pojechać do Koluszek i wziąć bilet powrotny na Sosnowice.

— To najmniejsza, ale jak ja się zabiorę z taką ilością? — mówił zakłopotany Walczak, patrząc na paczki.

— Przyszlę ci medyka, ten stosowanie do wymagań anatomicznych, wypakuje ciebie. Dostaniesz wspaniałe futro z bobrowym kołnierzem, czapkę barankową i jak wielki pan pojedziesz kuryerem drugą klasą, a pilnuj się, bo gdy cię złapią, futro przepadnie — zaśmiał się — paszport i pieniądze dostaniesz przez medyka.

— Zdaje się, że wszystko już wiem — rzekł Walczak — teraz napiszę słów kilka do kolegi, aby mnie zastąpił na lekcyi — usiadł przy stoliku.

— To są odezwy rewolucyjne — mówił Paweł — na tych można się sparzyć, conajmniej półroczne śledztwo w cytadeli. W ostatniej chwili wręczono mi te odezwy, nie miałem czasu przygotować przemytnika, a jutro rano muszą być na miejscu. Kto z was gotów? — spojrzał na milczące towarzystwo.

— Pojadę, jeśli wystaram się o paszport — odpowiedział Żalecki.

— Jakto? — zdziwił się Paweł — to wy nie macie gotowego paszportu? Żołnierz bez broni i munduru! — śmiał się — to z was nowicyusz.

— Dziś zaciągnąłem się w szeregi — bronił się zmieszany.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Bohaterski czyn żandarma: Żandarm Jan Jaworowski wynosi dwoje dzieci z palącego się domu. (Treść na str. 3)

Uroczystość winobrania.

Poetyczny świat bogów dawnej wolnej Hellady, herosów, o których przechowały się prawdziwie piękne, tchnące uroczą poezyą, legendy i mity, świat faunów, zamieszkujących przepyszne doliny greckie, kryjących się po przepaścistych górach, zniknął bezpowrotnie, a wraz z nim, razem z cudną mitologią grecką znikła też prawdziwa poezya.

Starożytni bogowie musieli ustąpić przed brutalną siłą, nie przeszli jednak zupełnie bezpotomnie, przeciwnie istnienie swe zaznaczyli wcale dobitnie, bo niejedno z świąt, jakie odbywały się przed wieki na ziemi wolnej Hellady, utrzymało się do dziś dnia i rozpowszechniło poza samą Grecyą, co prawda zmienione trochę, a jednak żywo przypominające dawne czasy.

Jednem z takich świąt i uroczystości jest święto winobrania. Sięga ono niepamiętnych czasów i łatwo poznać można, iż dzisiejsza uroczystość winobrania przerodziła się z dawnych, słynnych Bachanaliów Bachanalie, rdzenna uroczystość grecka, związane były ściśle z życiem ludu greckiego. Były to misterya, wspaniałe, zabawy pełne orgii na cześć Dyonizosa, a rozpowszechniły się ogromnie w Wielkiej Grecyi w Italii południowej. Stąd przedostała się dalej, do Rzymu.

A piękne to były zabawy, choć z czasem utraciły swe pierwotne religijne znaczenie, a przeradzając się w prawdziwą rozpustę, stawały się niejednokrotnie powodem poważnych nadużyć a nawet zaburzeń.

Kiedy przyroda cała budzi się wreszcie z długiego snu zimowego, kiedy wszystko poczyna zielenić się i ożywiać, kiedy pod wpływem dobroczynnych promieni słonecznych objawia się płodność drzew, a zwłaszcza winnej latorośli, nastają uroczystości winobrania — Bachanalie.

Z wesołą piosenką na ustach, przy dźwięku greckich instrumentów muzycznych, posuwa się zwolna orszak weselników, co w pieniącem się winie pragną umoczyć swe troski codzienne. Orszak ustawicznie się zwiększa, bo winobranie to uroczystość narodowa — bierze w niej udział cały lud grecki.

Więc zapomnieć na chwilę, że się żyje, weselić się i szaleć!

Nawiasowo dodać wypada, że dawne Bachanalie, uroczystości na cześć Dyonizosa, poważną mają zasługę. Oto z pieśni i całej wogóle weselnej akcyi wyrodził się późniejszy dramat grecki.

Dziś minęło to wszystko bezpowrotnie, Bachanalie nie odbywają się już, a dzisiejsze uroczystości winobrania we Włoszech, nie przybierając większych rozmiarów, są martwą kopią, bladą fotografią dawnych wspaniałych na cześć bożka Bachusa.

Załączone illustracye przedstawiają uroczystość winobrania w jednej z miejscowości południowej Francyi, produkującej wielką ilość wina.



Śmierć humorysty scenicznego: Paweł Schönthan.



Uroczystość winobrania: Uroczystość winobrania w mieście Vevaise we Francyi.

Król Alfons XIII. i lud hiszpański.

W dzisiejszych czasach nader trudno jest panującym uzyskać wśród ludu popularność i sympatyę. Różne się na to składają przyczyny, przedewszystkiem jednak zaznaczyć należy, że główną przyczyną są prądy liberalne, nurtujące wśród społeczeństwa, prądy nieraz aż do śmieszności posunięte w swym radykalizmie, np. anarchizm. Wiedzą o tem dobrze panujący, to też rzadko przedsiębiorą podróże, a jeżeli już wybierają się w podróż, to starają się naprzód o jak największe zabezpieczenie swojej osoby.

Z władców europejskich największą sympatyą cieszą się wśród swoich poddanych sędziwy cesarz austryacki i młodziutki król Hiszpanii, Alfons XIII. Cesarz austryacki pozyskał sobie głęboką miłość u wszystkich przez swój nadzwyczajny takt, pełną dobroci godność w postępowaniu i w rządach; król hiszpański zaś jest jeszcze za młody, by mógł się już nadmiernie swoim poddanym narazić, po prostu nie miał na to czasu. Do rządów dotychczas prawie że się nie mięszał, wpływ jego nie mógł się więc wybitniej zaznaczyć w życiu politycznem Hiszpanii. A jednak i ten młodzieniec na tronie omało, że nie padł ofiarą zamachu podczas swojej bytności w stolicy Francyi, o czemeśmy poprzednio pisali. Jedynie Opatrzności zawdzięcza Alfons XIII., że wyszedł cało, choć kilka metrów od jego powozu wybuchła dla niego przeznaczona bomba.



Uroczystość winobrania: Hymn do Cerery i tańce na uroczystości winobrania w miejscowości Vivaise we Francyi.



Fot. M. Münz. Lwów.

Dom pamiątkowy we Lwowie: Tablica pamiątkowa świeżo położona na kamienicy, w której się urodził śp. ks. arcybiskup Isakowicz.

Zamachu dokonał hiszpan, jak się okazało jeden z przywódców anarchistów.

Poza tem jednak Alfons XIII. cieszy się w Hiszpanii powszechną sympatyą i miłością. Lubią go Hiszpanie, lubią swojego, jak mówią, „małego króla“. Ile razy Alfons XIII. ukaże się na ulicach Madrytu, zawsze otaczają go tłumy, które ze szczerego serca wznoszą na jego cześć huczne okrzyki. A trzeba dodać, że Alfons XIII. lubi swoich Hiszpanów i miłość miłością odpłaca. Zdarza się, że czasem najniespodziewaniej zjawia się młody władca bez świty, w towarzystwie jednego z adjutantów, wśród ludu, bawi się wraz z nim i chętnie z nim obcuje.

Na illustracyi naszej widzimy, jak król Alfons schodzi z pomnika w parku madryckim, podtrzymywany przez swego towarzysza. Zjawił się bowiem incognito na festynie, ale go rozpoznano, na ramieniach zaniesiono ku najbliższemu posągowi i tam go ustawiono, wznosząc okrzyki na jego cześć. Ucieszony król chce zejść z pomnika, pomaga mu w tem jego towarzysz.

Taką miłością cieszy się w Hiszpanii młodziutki jej władca.

Zgon humorysty scenicznego.

Humor to rzadki, cenny dar nieba, a ludzie nim obdarzeni są równie społeczeństwu potrzebni i pożądani — jak mężowie wiedzy i nauki. Humor bywa rozmaity, rubaszny lub wykwintny, jowialny lub ironiczny, mniej lub więcej przyzwoity lub pikantny. Scena jest również jednym z przybytków humoru, lecz prawdziwych kapłanów jej — niestety! nie mamy wielu! A i tak grono ich zmniejsza się z roku na rok. Ostatniemi dniami zabrała śmierć wybornego komedyopisarza Pawła Schöntana. Życie tego człowieka było bardzo ruchliwe i ożywione. Z zawodu aktor przerzucił się rychło na niwę literacką i z wielkiem powodzeniem do spółki z bratem swym Franciszkiem pracował. Jedna z najlepszych komedyi tej braterskiej spółki jest głośne w całym świecie „Porwanie Sabinek“.

W numerze dzisiejszym podajemy portret zmarłego humorysty.



Król Alfons XIII i lud hiszpański: Alfons XIII (x) na pomniku podczas zabawy ludowej w Madrycie.

Dom pamiątkowy we Lwowie.

Miejsca, gdzie się urodzili i wychowywali, gdzie przebywali wielcy ludzie, otaczane są przez potomnych czcią, równą prawie czci człowieka, który wzbił się tak wysoko, osiągnął na ziemi to, co może być największem szczęściem, potrafił pozostawić po sobie długotrwałą pamięć. I nic dziwnego. Bo życie ludzi prawdziwie wielkich, to jakby rozwarta księga, z której potomni mogą się uczyć, jak mają żyć, jak mają postępować, aby ich życie było nie tylko zjadaniem chleba, ale żeby przynieść mogło ojczyźnie chlubę, a społeczeństwu pożytek.

Taką pamięć pozostawił po sobie śp. ks. arcybiskup Isakowicz, metropolita lwowski ormiański, zmarły w roku 1901. Śp. ks. Isakowicz był kapłanem, o którym można było śmiało powiedzieć, że to prawdziwy sługa boży, prawdziwy zastępca Chrystusa na ziemi. Koiciel nędzy i bólu życiem swem całem, wszystkiemi siłami służył ojczyźnie, która go do swych najlepszych zalicza synów. Gorący patryota w pismach i kazaniach, a słynął jako znakomity kaznodzieja, siał miłość ojczyzny, miłość Boga i Chrystusowej religii, owej jedynej spójni, która nas, rozdartych jako naród na trzy części, pod trzema jęczące jarzmami, trzyma przy życiu, która podtrzymuje w nas owo święte poczucie, że jesteśmy narodem i to narodem żywym, narodem który myśli, pracuje i żyje. Służba Kościołowi i Ojczyźnie — to były wytyczne w życiu arcybiskupa Isakowicza.

Wdzięczni rodacy, czcząc pamięć powszechnie zasłużonego kapłana i gorącego patryoty, położyli na domie, w którym się śp. arcybiskup Isakowicz urodził, marmurową pamiątkową tablicę.

Tablicę tę reprodukujemy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Karły w Zywcu.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że widok ludzi, mniejszych od nas wzrostem, obudza w nas pewną ciekawość. Wprawdzie wśród nas samych są ludzie wyżsi i niżsi, jednakowoż zawsze jest tu jakaś miara, która decyduje, że ludzie, nawet bardzo nizkiego wzrostu, są nam obojętni, nie obudzają w nas żywszej ciekawości. Mówiąc o takich ludziach myśleliśmy o karłach.

W czasach dzisiejszych karły, to znaczy ludzie ogromnie mali, są prawie rzadkością. Widujemy ich w cyrkach, w większych tak zwanych panoramach itd. Sprytni przedsiębiorcy, znalazłszy takiego karła, zaraz go angażują i robią na nim dobre interesa, boć przecież któż z nas nie idzie z chęcią do cyrku, gdzie można zobaczyć zawsze jakieś



Fot. R. Strenger. Żywiec.
Karły w Żywcu: Rodzina karłów.

twory nadzwyczajne, będące wybrykiem natury. A swoją drogą i karły na tem lepiej wychodzą, bo mają zapewniony byt, zapewnione utrzymanie, o co dzisiaj przecie tak trudno.

W ubiegłym tygodniu nie małą senzacyę obudziła w Żywcu trójka karłów, która tam przybyła „na świeże powietrze". Bo trzeba wiedzieć, że dwoje karłów z tej trójki pochodzi z Żywca. Najstarszy, 21 lat liczący karzeł, znany w cyrkach całego świata pod nazwiskiem „hrabia **Stanisław**", nazywa się właściwie Jan Pawełek. Rodzice jego mieszkają w Żywcu i żyją nie najwygodniej, bo są to biedacy, którym najstarszy syn, ów właśnie karzeł dopomaga. Dobry syn bowiem przysyła rodzicom od czasu do czasu znaczniejszą sumkę, która im pozwala jako tako żyć. Co dziwna, to to, że rodzice owego karła są wysokiego wzrostu i silnej budowy ciała. „Pan Jan" który już zjeździł z rozmaitymi cyrkami świat cały, jest wysoki na 68 cm. Nie wyższą jest jego siostra i żona, bo „pan Jan" się już ożenił, jako, że się nie obawia, że go wezmą do wojska lub czegoś podobnego.

Oryginalna ta trójka przybyła do Żywca, aby się trochę odświeżyć, odetchnąć po „uciążliwej" pracy. W Żywcy dali się też fotografować i w dzisiejszym numerze zamieszczamy ich fotografię, wykonaną w zakładzie fotograficznym R. Strengera w Żywcu.

Powiększenie zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie.

Trudno wyobrazić sobie nieszczęśliwszą istotę na ziemi, jak człowieka dotkniętego chorobą umysłową. Pozbawiony samopoczucia, świadomości — pozbawiony wszelkich praw człowieczych, usunięty z żyjącego społeczeństwa — pędzi taki osobnik żywot bezmyślnego zwierzęcia, wydany niejednokrotnie na brutalne obchodzenie się dozorców. Dobrze jeszcze, jeżeli taki nieszczęśliwy utracił kompletnie świadomość i pamięć i nie zdaje sobie najmniejszej sprawy z grozy swego położenia Wypadki jednak kompletnego i stałego zaćmienia umysłu — są stosunkowo dość rzadkie — większość chorych zatrzymuje przeważnie półświadomość, a nawet przy stałym obłędzie, czy przybiera on formę ostrego szału, czy też chronicznego, spokojnego obłędu — są chwile przytomności zwane „lucida intervalla". Te chwile właśnie, gdy chwilowo pamięć wraca — są najstraszniejsze dla nieszczęśliwych chorych. W takich chwilach zdaje on sobie dokładnie sprawę ze stanu swojego i ma tę okropną świadomość, że za kilka godzin dostanie znowu napadu.

Społeczeństwo otacza słusznie opieką swoją obłąkanych. Są szpitale przeznaczone specyalnie dla waryatów, są sanatorya i prywatne lecznice, w których poddani racyonalnej kuracyi przychodzą do zdrowia lub przynajmniej straszny ich los o ile możności bywa łagodzący. Jednym z największych zakładów dla obłąkanych w Galicyi — jest zakład kulparkowski pod Lwowem. Urządzony racyonalnie i według ostatnich wymogów nauki lekarskiej — miał „Kulparków" jedną słabą stronę dotychczas:



Rozszerzenie zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie: Pawilony główne i wieża wodna. Fot. M. Münz. Lwów



Kościół na kresach Polski: Marszałek powiatowy Onyszkiewicz.

szczupłość miejsca, przy olbrzymim napływie pacyentów. Temu złu postanowiono właśnie zaradzić.

Wydział krajowy rozszerza kosztem $1^1/_2$ miliona koron, zakład dla obłąkanych w Kulparkowie.

Zakład będzie mógł obecnie pomieścić około 1300 chorych, jest wybudowany wedle najnowszych wymagań, ma wodociągi, ogrzewanie centralne, własną kanalizacyę, tor kolejowy etc.

Kilka pawilonów zostanie oddanych do użytku w roku bieżącym a reszta na wiosnę.

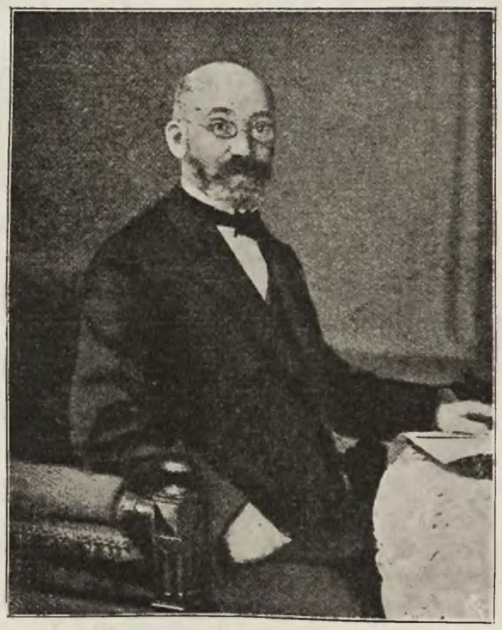
Budowa odczyszczalni dla kanalizacyi kulparkowskiej prowadzoną jest według planów inżyniera M. Maślanki, przez firmę „Bracia Mund" pod kierownictwem starszego inżyniera p. A. Wierzbickiego. Wieżę wodną buduje firma „Hennebique". Pawilony główne buduje radca Z. Kędzierski. Kierownikiem budowy jest architekt Kamienobrodzki.

Dom Boży na kresach Polski.

Wiara jest dla człowieka z tłumu, rzeczą niezbędną, bez której poprostu egzystencyi jego wyobrazić sobie nie można. Wiara jako taka, spełnia tu podwójne zadanie społeczne: Wiara w przyszłą nagrodę i karę daje biednemu, znużonemu życiem i walką o byt, otuchę i pewność, że nie wszystko kończy się na doczesnej egzystencyi, że tam na drugim świecie jest Wielki, Sprawiedliwy Sędzia, który łzy liczy i cierpienia ludzkie widzi, a wynagradza i karze według zasług. Ta wiara w bezwzględną sprawiedliwość w sztuczne ocenienie życia i uczynków człowieka, uszczęśliwia i zachęca do cnoty.

Słusznie też mówi poeta: „Szczęsny, kto wieku nie tknięty chorobą, nie zna dróg nowych i został sam sobą, nie szukał nigdy nad otchłanią mostu, kto kocha szczerze, a wierzy poprostu!" Religia, a raczej wiara, spełnia zwłaszcza między ciemnemi, nieoświeconemi warstwami donioślejsze jeszcze zadanie: grozą wiecznego potępienia, kar i męk piekielnych trzyma w karbach ludzi o niepewnym charakterze i wątpliwych zasadach etycznych, ludzi, którzy bez tego moralnego hamulca stoczyliby się z pewnością w otchłań upadku i zbrodni. Dowiedzioną jest też rzeczą, że skuteczniej niż wszystkie domy karne i domy poprawy, działa na lud konfesyonał, że łatwiej trafia do serc maluczkich serdeczne upomnienie kapłana, niż surowe ustawy i wyroki sądów karnych.

Do utrzymania tej wiary, tej najsilniejszej ostoi społeczeństwa, niezbędne są jednak owe widome posterunki i przybytki wiary: kościoły, kaplice, figury święte itp. Każda wiara potrzebuje symbolicznego wyobrażenia, a im to wyobrażenie silniej zewnętrznie działa, tem pewniejszy i jej sukces. Zrozumiał też to dobrze św. Kościół katolicki i wło-



„Esperanto" i jego wynalazca: Dr. Zamenhof wynalazca „esperanto". (Treść na str. 12).

żył w obchody i ceremoniały religijne wystawność i oślepiający nieraz przepych.

Społeczeństwo winno w dobrze zrozumianym własnym interesie chronić owe święte zabytki i starać się o ich pomnożenie, zwłaszcza zaś na kresach, gdzie ludność styka się z innowiercami.

Zrozumiał to dobrze nowowybrany marszałek powiatowy p. Adam Onyszkiewicz, należący do najzacniejszych ziemian w powiecie. Pan Onyszkiewicz posiada na kresach Polski i Rusi — bo pod Stryjem ma majątek Lisiatycze. W majątku tym osiedlonych jest sto kilka rodzin mazurskich. Dzięki staraniom i ofiarności dziedzica stanęła w jego wsi piękna kaplica w stylu gotyckim. Co niedzielę przyjeżdża ze Stryja kapłan ks. Szuba i odprawia dla mazurskiej kolonii Mszę św. Dzięki tedy szlachetnemu fundatorowi, katolicki lud ma własną chociaż skromną świątynię, gdzie słyszy słowo Boże we własnym języku i patrzy na służbę Bożą odprawianą w katolickim rytuale.



Rozszerzenie zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie: Budowa odczyszczalni dla kanalizacyi kulparkowskiej. Fot. M. Münz, Lwów.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

5 (Ciąg dalszy).

— Ależ naturalnie, panie baronie. Nie myślę nawet sprowadzić najmniejszej awanturki w tym rodzaju z markizem, który powinien mię poznać tylko jako człowieka prywatnego.

Baron był z tego zadowolony i otworzył drzwi napowrót. Zaprosił ruchem ręki Bernarda, by szedł za nim.

V.

Podczas tego siedział markiz de Lerma w malutkim, wspaniale urządzonym buduarze Leontyny. Markiz przynosił każdego rana, ilekroć przybywał do domu barona, bukiet kwitnących kwiatów. Dopiero od dwu dni pozwolił lekarz Leontynie przyjmować znajomych i pierwszym, któremu ta łaska przypadła w udziale, był markiz. Z początku nie wspomniano ani słowem o strasznych wypadkach, które sprowadziły chorobę Leontyny.

Markiz, który nadzwyczajnie uważał na zewnętrzny wygląd, był zanadto ostrożny i postępował nadzwyczaj taktownie, by przez niebaczne słowo nie popsuć z trudem stworzonej sytuacyi.

Lecz dzisiaj rozmowa przeszła na inne tory. Sama Leontyna poczęła nagle mówić o zbrodni, której ofiarą padł książę.

W ciemnych oczach południowca błysło dziwne światło i ostrożnie począł prowadzić rozmowę na niebezpieczny temat.

Leontyna, leżąca w niebieskim, jedwabnym negliżyku na poduszkach wygodnego karła, podniecała się mimo woli coraz bardziej. Nierozwiązana zagadka i pytania poczęły ją trwożyć i sama nie wiedziała, jak przyszło do tego, że zaczęło się w niej budzić podejrzenie, że biedny książę padł ofiarą zbrodni, w którą musiała być wmięszana kobieta, mszcząca się na nim za to, że ją porzucił. Naprowadzało na to i tajemnicze pismo owej kartki, leżącej w szkatułce.

Na usta markiza wybiegł tajemniczy uśmiech:

— Może mógłbym pani — rzekł markiz — udzielić kilka wskazówek. Milczałem dotychczas tylko dlatego, że drżałem na samą myśl, że może się pani przerazić, a szczęście i zdrowie pani są mi drogie nadewszystko.

Wiedział on dobrze, że te słowa rozdmuchiwały tlejące na dnie jej duszy iskry do pełnego żaru.

Baronówna uniosła się do połowy, a wilgotne jej źrenice zawisły na wargach markiza.

— Pan musisz wiedzieć więcej, aniżeli ja i mój ojciec — wyrzekła. — Ta niepewność i trwoga, która mię opanowuje, kiedy jestem samą, jest straszniejszą od każdej prawdy, chociażby ta miała być jeszcze bardziej straszną. Błagam pana, markizie, zlituj się nademną i powiedz mi wszystko, co tylko wiesz o księciu.

— A więc Leonio — rzekł markiz, tłumiąc głos, chociaż mimo tego drżała przez niego tłumiona pożądliwość — staraj się pani zapomnieć tego człowieka, który tylko zatruł twoje młode życie! Prowadziłem nadal moje poszukiwania za księciem od dnia tego nieszczęsnego ślubu, który postawił panią nad grobem! Książę nie był pani godzien, złamał wobec pani wiarę i nie śmiał wyciągnąć ręki, by porwać tak czysty klejnot.

Śmiertelnie blada opadła Leontyna na karło i okrzyk bólu wydarł się przez jej wargi.

Markiz skoczył i pochylił się nad cierpiącą.

Wiedział on, że całe niebezpieczeństwo już minęło, a sam cios, który jej musiał zadać, nie mógł jej zabić, lecz owszem, uczucie, które żywiła dla księcia zmienić.

— Och, ja nieszczęsny, co ja zrobiłem! — wołał, udając przerażenie. — Dlaczego nazwisko księcia postało mi w ustach? Mogę i muszę przyznać, że na nowo rozrywam krwawą ranę!

Pokrywał białą rękę Leontyny gorącymi pocałunkami, lecz nagle opanowała się i otrząsła z niemocy.

— Nie, już zapóźno, markizie! — rzekła z dziwnym uporem. — Mów pan dalej, chcę wszystko wiedzieć, nawet najgorsze! Nie potrzebujesz się pan niczego obawiać. Przetrzymałam ten straszny cios, który wymierzono mi w dzień mego ślubu, to i teraz z pewnością nie umrę!

Markiz skłonił głowę i odpowiedział:

— Jestem niewolnicą pani, Leontyno, rozkazuj mi! Chciałbym drogę Twego życia usłać różami i oddalić od ciebie każdą przykrość, którąby Ci zagrażała, lecz ma pani słuszność, w tej chwili jest do pewnego stopnia obowiązkiem powiedzieć pani, że książę panią zdradził!

— Mów pan dalej, proszę! — wyszeptała Leontyna, leżąc z nawpół z przymkniętemi oczyma w karle.

A markiz de Lerma mówił, przebiegając od czasu do czasu wzrokiem po smukłej postaci baronówny:

— Książę de Bligny ma burzliwszą przeszłość za sobą, niżby mógł się tego kto spodziewać. Podczas swych długich podróży, które przedsiębrał, nawiązał mnóstwo stosunków miłosnych! Może gdzieś w jakimś zakątku ziemi, taka zdradzona miłość zwijać pięści i przeklinać księcia de Bligny! Te nieszczęśliwe kobiety mogły właśnie przyczynić się do zgotowania pani tak smutnego stanu, w jakim się obecnie znajdujesz i jedna z nich zemściła się na nim. Ja skonstatowałem następujący fakt:

Książę przebywał przed dwoma laty krótki czas w Nizzy, gdzie poznał się bliżej z tancerką opery paryskiej, która dzięki swej piękności i oryginalnym tualetom tworzyła punkt środkowy ówczesnego eleganckiego półświatka. Szczególnem przy tem jest to, że nazywał się Maurycym de Lanterre, nazwiska zaś tego nie wyssał z palca, bo zamek jego nieboszczyka ojca nazywał się Lanterre. Z trudem chyba można było znaleźć ludzi, którzyby nie mogli podać pewnych wiadomości o stosunku, w jakim pozostawał książę do Gizy Cornary, tak bowiem nazywała się tancerka. Piękna tancerka zniknęła pewnego dnia ku zadziwieniu innych don-żuanów z Nizzy i to zniknęła z Maurycym de Lanterre. Krążyła pogłoska, że oboje udali się do Londynu, aby tam połączyć się węzłem małżeńskim.

Markiz zamilkł na chwilę, aby obserwować wrażenie, jakie wywarły jego słowa.

Nagle otwarła baronówna oczy i patrzyła przerażona na opowiadającego.

— Aby się pobrać, mówi pan, markizie — wybełkotała blademi wargami.

Markiz skinął twierdząco głową.

— Nie spuściłem się na tę pogłoskę, lecz chciałem sam upewnić się pod tym względem. Udałem się przeto do Londynu, a ponieważ w Nizzie porobiłem potrzebne mi do zoryentowania się notatki, udało mi się znaleść kościółek, w którym rzeczywiście pobrali się Maurycy Lanterre z tancerką Gizą Cornary! Wszelkiego rodzaju omyłka, jak się przekonałem, było niemożliwa. Młoda para przebywała cały czas po ślubie w Londynie i znikła następnie powtórnie, udając się na Wschód. Jeślibym powiedział, że zawarł ślub pod fałszywem nazwiskiem, to wyraziłbym się może nie zupełnie dobrze, bo jego pradziadek nosił to nazwisko i dopiero przed stu laty otrzymał tytuł książęcy i nazwisko Bligny. Małżeństwo było więc prawne i książę nie mógł pod żadnym pozorem zawierać drugiego, bo w takim razie stałby się winnym dwużeństwa.

Śmiertelnie blada siedziała Leontyna naprzeciw markiza. To, co słyszała, przechodziło najstraszniejsze jej przypuszczenia. Teraz rozwiązała się od razu zagadka!

— Więc ową kobietę — jąkała — on opuścił, a ona podążyła za nim do Paryża, gdzie w dzień ślubu zaszła mu drogę na jednej z ulic, by go zamordować. Czyż nie tak, markizie?

Markiz wzruszył lekko ramionami i odrzekł oględnie:

— Co poprzedziło zniknięcie księcia, tego nie wiem, Leonio, lecz za to coś innego jest mi znanem. Wkrótce po zniknięciu księcia, wyciągnięto z kanału Sekwany trupa młodej kobiety, a ja dowiedziawszy się o tem przypadkowo z dzienników, poszedłem oglądać zwłoki. Przy tem rozbudziło się we mnie jakieś podejrzenie. Natychmiast bowiem poznałem w nieżywej postaci dawną tancerkę, Gizę Cornary, małżonkę księcia de Bligny.

— Ona umarła! — wykrzykła, wzdrygając się, Leontyna. — Więc dobrowolnie wskoczyła do Sekwany?

— Można tak uważać, a przynajmniej dotychczas inne wytłómaczenie nie jest dopuszczalne! Co do mnie, to uważam to za samobójstwo, bo skoro namiętna tancerka zadowoliła swą zemstę, poszukała śmierci, aby przez nią odpokutować dokonaną zbrodnię!

— Straszne! — westchnęła baronówna.

— Lecz jak zamordowano księcia? Czy i o tem czego pan nie wiesz?

— Nie, baronówno. Przysięgam pani na wszystko, co mam najświętszego, bo w takim razie czułbym się zmuszony udzielić mych wiadomości policyi paryskiej. W jaki sposób się udało złapać podstępem księcia podczas jazdy, kto go zamordował i w jaki sposób dostał się on potem do Sekwany, to to wszystko jest okryte czarną tajemnicą. Widzi więc pani teraz, żeś oddała swą miłość i rękę takiemu niegodziwcowi! Jakże szczęśliwym musiał się on czuć, będąc przez panią kochany! Ja nosiłbym panią na rękach i usuwałbym każdy kamień z przed twych stóp, gdyby mię był ten nędznik nie uprzedził, bo wiem, że był czas, gdzie miałem łaski w oczach pani. Tylko niezwyciężone, wstrętne fatum zmusiło mię wtedy do odjazdu i dłuższej nieobecności. A gdym chciał później powrócić, dowiedziałem się o zaręczynach pani z księciem i oddaliłem się z raną w sercu!

W podnieceniu zaczął mówić coraz gwałtowniej, a teraz pochwycił Leontynę za rękę i złożył na niej namiętny pocałunek.

— Powiedz mi, Leonio, bym nie stracił wszelkiej nadziei, że później, kiedy minie ten straszny smutek, ta boleść, a spokój i otucha zagoszczą do twej duszy, że wtedy twe oczy znow zwrócą się do mnie z uśmiechem!

Głos jego drgał namiętnie, padł przed Leonią na kolana i pokrywał jej ręce pocałunkami. Wśród tego nie zauważył, jak poruszyła się portyera i ukazał się baron w towarzystwie detektywa.

Brepont stanął jak rażony piorunem i nie mógł z podziwu wyrzec ni słowa.

Ani Leontyna, ani markiz nie zauważyli szmeru dwu wchodzących osób, bo ziemię zasłaniały grube dywany. „Szklane oczko" posłyszał nawet ostatnie słowa, wyrzeczone do Leontyny przez markiza i ciągnął już z nich odpowiednie wnioski.

Nagle wstrząsnęło straszne łkanie piersiami baronówny.

Markiz skoczył przerażony i drżąc pytał:

— Co ci to, Leonio, czyż ani słówka odpowiedzi na me gorące prośby?

Wtedy blada postać poruszyła cudną główką i wyszeptała:

— Chociażby był najnędzniejszym z ludzi, to kocham go i nie przestanę kochać go do grobu.

Ciche przekleństwo wyleciało z ust księcia de Lermy. Więcej nie mógł mówić, bo w tej chwili podszedł bliżej baron Brepont.

Z lodowym spokojem patrzył on na markiza.

— Panie markizie — powiedział — stałem się mimowolnym świadkiem pańskiego czynu, który mnie zniewala poprosić pana, byś mój dom natychmiast opuścił. Przeraziłeś pan istotę ciężko cierpiącą i o tem nie powinieneś pan nigdy zapomnieć.

Markiz, blady jak ściana, rzucał jadowite spojrzenia na barona i na stojącego za nim mężczyznę.

Gdzie mógł widzieć tę twarz z temi szczególnemi oczyma! Napróżno łamał sobie nad tem głowę.

W każdym razie jakiś znajomy, bo nieznajomy był ubrany elegancko.

Baron nie uważał za stosowne zapoznawać obydwu, tylko pełen troski o Leontynę, leżącą na wpół omdlałą, pochylił się nad nią.

Markiz skłonił się przed baronem i mruknął parę słów, brzmiących jak usprawiedliwienie, następnie sztywnym krokiem opuścił pokój; w przedpokoju kazał służącemu podać futro i wyszedł w śnieżycę, rzucającą mu w twarz płaty śniegu. Nie zważał na to, tylko klął siarczyście! Tak blisko mety stracić nagrodę! Nadejście barona mniej go smuciło, niż niespodziewane wyznanie Leontyny, że mimo tego wszystkiego, co przed nią odkrył, jeszcze zachowała miłość dla księcia, nawet wówczas, kiedy musiała przypuszczać, że nie żyje, zadała mu taki cios, jakiego się nigdy nie spodziewał.

Więc na darmo przez tyle tygodni puścił w ruch wszystkie sprężyny, by podkopać wpływ księcia, a samego zgubić?

Markiz oglądał się często, bo zdawało mu się, że ktoś za nim postępuje. Lecz mylił się.

Znowu wylał się potok przekleństw i markiz brnął dalej bez celu w śniegu. Musiał się przedtem uspokoić, zanim powróci do hotelu, bo wszystko się w nim gotowało z wściekłości i oburzenia.

. . . .

Stan Leontyny pogorszył się przez rozmowę z Lermą do tego stopnia, że o pozostaniu i zamianie kilku z nią słów, nie miał Bernard nawet co myśleć. Wyszedł też tuż za markizem i zobaczył go przed sobą w pewnem oddaleniu. Bezwiednie poszedł za nim i detektyw, a nie kto inny był tym, który postępował za markizem, lecz ten zajęty swemi myślami i wzburzony, nie zwracał później na to uwagi.

Śnieg padał coraz większy i parę razy zdawało się Bernardowi, że mu markiz zniknie z oczu. Lecz nie zaprzestał on tak prędko tropienia. Odkrył, że dzielnica, po której błądził markiz, nie należała

do najelegantszych. Markiz tropiony dostał się tu przypadkowo, bo jak wspomnieliśmy, zajęty myślami, nie zważał na drogę.

„Szklane oczko“ sądził jednak, że to postanowienie. Nagle uderzyły jego ucho niezrozumiałe dźwięki.

W pewnem oddaleniu musiało się kłócić dwu ludzi. Z powodu silnego śniegu nie można było dokładnie widzieć, dlaczego detektyw przyspieszył kroku. Pod latarnią, którą niedawno zapalono, spostrzegł teraz dwie postacie. Nie był to nikt inny, jak tylko markiz, kłócący się z kimś drugim. Aby lepiej widzieć, pochylił się detektyw i zauważył, iż człowiek, który przemawiał do markiza, był bez paltota i chował rękę w kieszeni, jak gdyby chciał ją ochronić przed mrozem.

Jak mi się zdaje, kłócą się o coś, pomyślał detektyw. Szkoda tylko, że nie mogę zrozumieć z tego ani słowa! Może to tylko przypadkowa zaczepka, a może także — — coś innego!

Obydwie postacie poruszały się tu i tam, gdy nagle markiz pchnął gałganiarza tak, że ten potoczył się aż pod mur.

Złorzeczenie i kilka słów pogróżki poleciało za oddalającym się markizem. Obalony nie myślał ścigać markiza; strzepywał sobie śnieg z kolan, mruczał niezrozumiale i poszedł następnie dalej źle oświeconą ulicą. Musiał on przejść tuż obok detektywa, tak, że ten mógł go lepiej, niż dotąd zobaczyć. Skoro tylko wagabunda zniknął, wyszedł detektyw z za załomu muru, skąd całą scenę obserwował.

— No, teraz będziemy widzieć, jak sprawa pójdzie dalej — pomyślał detektyw. — Na szczęście posłyszałem parę słów, które mają dla mnie znaczenie.

VI.

Było już prawie po północy, kiedy zgarbiona od zimna, źle ubrana postać szła jedną z wąskich uliczek paryskiej dzielnicy, zamieszkałej przez podejrzane indywidua. Człowiek ten nasunął stary, obszarpany kapelusz na oczy i czoło. Teraz, kiedy przechodził pod latarnią, podnosząc wysoko nogi, można było ujrzeć brudną twarz bez zarostu, z sińcami pod oczyma. Kilka splątanych kosmyków włosów spadało mu na skronie. Na szyi miał zawiązaną niegdyś czerwoną chustkę, sięgającą prawie do brody. Gruby paltot był zbiorem łat, poprzyszywanych czerwonemi ściegami. Jedna noga latała w za dużym na nią bucie, drugą okręcił w płó no, przewiązane sznurkami.

Nagle łachmaniarz przystanął.

Wyciągnął ręce z kieszeni, przytknął je do ust, chuchał w nie i uderzał nogą o nogę. Przy tem oczy jego spoglądały ukosem na czerwoną latarnię, umieszczoną nad wchodem piwnicznej knajpy, w której schodziły się najgorsze i najniebezpieczniejsze szumowiny całego Paryża. Mordercy, złodzieje, wypuszczeni z więzień zbrodniarze, omawiali tutaj wyprawy. Policya wiedziała bardzo dobrze o tej norze, lecz cierpiała ją dalej, bo gdyby ją zamknęła, wówczas cała banda przeniosłaby się gdzie indziej, gdzie już nie tak łatwo byłoby ją mieć na oku, jak tutaj, u ojca Noego. Gdy policya uważała za stosowne złożyć ojcu Noemu wizytę, zjawiała się nagle, jak z pod ziemi, chmara tajnych agentów, która obsadzała wszystkie wejścia i wyprowadzała szukanych złoczyńców. Chociaż tego rodzaju połów odbył się już kilkakrotnie, jednak nie odstraszał on złoczyńców, bo każdy z nich uważał się za przebieglejszego od swych poprzedników.

Na wieży katedry biła właśnie pierwsza godzina, gdy do wejścia jaskini zbliżyła się druga postać. Człowiek ten zdążał tutaj prosto prędkim krokiem. Gdy stanął pod latarnią, można było zauważyć, że był trochę lepiej ubrany, aniżeli powyżej opisany włóczęga. Obuwie było jeszcze całe, a na głowie miał dość jeszcze dobry kapelusz, tylko na szyi zamiast kołnierzyka, miał wielką wełnianą chustkę, chroniącą go przynajmniej przed zimnem. Chwilę przy łuchiwał się niknącym w ciszy nocnej dźwiękom zegaru, następnie kiwnął głową i zszedł na dół po schodach, gdzie zniknął we drzwiach szynku.

Cóż się stało co tymczasem z owym pierwszym?

Obdarty wcisnął się z szybkością błyskawicy w zagłębienie muru, skoro tylko dosłyszał oddalony odgłos kroków. Teraz, gdy lepiej ubrany złoczyńca, bo któż to mógłby być inny, znikł w drzwiach szynku, wyszedł obszarpaniec z ukrycia i wszedł również do knajpy. Było tam około dwu tuzinów ludzi, mieszczących się w niebardzo obszernym pokoju. Ogromny, żelazny piec był rozpalony aż do żaru. Między obecnymi znajdowały się i dwie kobiety. Tu i ówdzie trzymał ktoś w ręce kieliszek absyntu i ssał go przez źdźbło. Niektórzy łączyli się w grupy, snujące plany najokropniejszych zbrodni i kradzieży.

Lepiej ubrany wszedłszy, rozglądnął się szybko i spostrzegł w kącie pod piecem młodzieńca, mogącego liczyć około 25 lat, z podwiązaną twarzą, w której rysach przebijała się brutalność.

Chłopak podniósł się od boku jakiejś dziewczyny i skinął na przybysza. Nie troszcząc się zupełnie o innych, znikł w znajdujących się w głębi drzwiach, a przybysz, rzuciwszy na brudny bufet pieniądz, udał się za nim.

Chłopak pchnął w ciemnym kurytarzu jakieś drzwi i zaświecił świecę, tkwiącą w szyjce pustej butelki. Pokoik, w którym się znajdowali obecnie, był wybielony, a za całe umeblowanie służył stół, dwa stołki, a w kącie znajdowało się żelazne łóżko, przykryte kilkoma końskiemi derami.

Przybysz wszedłszy, zaryglował natychmiast za sobą drzwi.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — rzekł chłopak głośno. — Pchnięcie, któreś mi pan zadał w gniewie, musisz mi drogo zapłacić!

Przybysz usiadł na jednym ze stołków i założył nogę na nogę. Patrzył bez trwogi i z pogardą

Zresztą, co zrobiłeś z pieniądzmi, które ci mogły zapewnić byt bez troski na cały rok?

Złoczyńca nie zmienił swego stanowiska na stole ani na jotę. Zaśmiał się krótko, a śmiech ten brzmiał dość groźnie i odpowiedział na ostre pytanie markiza.

— Mam pecha, mój czcigodny panie! Bez wątpienia pieniądze te wystarczyłyby mi na pewien przeciąg czasu, ale jak się to zwykle dzieje, chcąc się zabawić, zaprosiłem kilku starych przyjaciół i przyjaciółek i bawiliśmy się całą noc.

Markiz rzucił nienawistne spojrzenie na chłopca i rzekł:

— Byłeś naturalnie tak głupi, by całą kwotę nosić przy sobie.

— Tak, panie markizie – brzmiała odpowiedź. — Nie umiałem nigdy oszczędzać i dlatego nie jedna już sztuka złota potoczyła się przez moje ręce!

— Ci zaś skradli ci twój cały zapasik!

— Kto to zrobił, tego nie wiem, dość, że zrobił! Na drugi dzień rano znalazłem się pod stołem i to z próżnemi kieszeniami! Historya może się więc rozpocząć na nowo.

— Cóż przez to chcesz powiedzieć?

— To, że wiedziałem przecież, że w panu markizie znalazłem tak dobrego przyjaciela, że nie pozwoli, aby taki chłopiec, jak ja, miał cierpieć głód.



Baronówna uniosła się do połowy, a wilgotne jej źrenice zawisły na wargach markiza.

na obdartego chłopaka, spoglądającego na niego nienawistnie.

— Dlaczegoś mię drażnił, głupcze — odpowiedział. — Już kiedy indziej dałem ci do poznania, że pod żadnym warunkiem nie śmiesz zaczepiać mię na ulicy. Bo gdyby mię kto wtedy zobaczył, jakieby zrobił oczy, widząc mnie z takim obdartusem.

Złoczyńca usiadł na rogu stołu i rzekł szyderczo:

— Musisz mi pan darować tę niespodziankę, którą panu sprawiłem. Do wczoraj nie wiedziałem, kto był właściwie mym łaskawym panem rozkazodawcą. Dopiero przypadek mi to odkrył: Markiz de Lerma, zamieszkały w hotelu Orient. Zresztą spotkałem pana zupełnie przypadkowo na ulicy. Dlaczego włóczy się pan po tej ulicy? Mógł mi pan dać grzeczną odpowiedź, a poszedłbym był swoją drogą. Pan jednak wybuchnąłeś, a tak nie godzi się przecież postępować z dobrym przyjacielem i towarzyszem.

Markiz przebywający w tak niezwykłem towarzystwie i w ubraniu takich wyrzutków społeczeństwa, zerwał się z krzesła a jego oczy rzucały takie płomienie, że łotrzyk skurczył się mimowolnie.

— Zamknij gębę na kłódkę, łotrze — wykrzyknął markiz i skierował straszny wzrok na złoczyńcę

— Dzisiaj na odchodnem rzuciłeś za mną kilka pogróżek. Widzisz, przyszedłem tutaj i chociaż za wyświadczoną nam przysługę już cię wynagrodziłem, jestem przecież gotów jeszcze ci cośdołożyć.

Markiz uderzył z wściekłości ręką o stół i gdyby jego wzrok mógł zabić, to ofiarą jego padłby pierwszy ten człowiek.

— Jak przychodzisz do tego, aby nazywać mię swym przyjacielem? — krzyknął. — Musiałeś mnie pewnie szpiegować też na każdym kroku!

— Rzeczywiście, byłem tak bezczelny, łaskawco — odpowiedział zbrodniarz. — Lecz dzisiaj w południe nie powinieneś pan był obejść się ze mną tak, gdy spotkałem pana na ulicy. Lis umie zawsze zachować potrzebną ostrożność. Śnieżyca była tak silna, że nikt by nas nie zauważył. Czy pan wie, że to pchnięcie w piersi mogło panu wyjść na złe? Pan mnie przecież rozumie!

Markiz wrzał z gniewu. Z największą przyjemnością byłby zmiażdżył złoczyńcę, lub wpakował mu kulę w łeb. Miał on, jak zawsze, przy sobie rewolwer, lecz nie mógł się odważyć tutaj w lokalu ojca Noego użyć go.

— Milcz! — krzyknął — już raz dałem ci tę radę. Gdyby przez twoje śledzenie w hotelu, w którym mieszkam, trafiło mi się coś nieprzyjemnego, to nie spodziewaj się z mej strony żadnego pobłażania, bo przy pierwszej sposobności strzelę ci w łeb, jak psu. A teraz chcę wiedzieć, czego ode mnie żądasz, bo nie mam najmniejszej ochoty przychodzić raz drugi do tej przeklętej jaskini łotrów!

Łotr huśtał nogami w powietrzu i zdawało się, że bawi go nawet wściekłość barona.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kościół na kresach Polski: Kaplica, wybudowana kosztem p. Onyszkiewicza. (Treść na str. 9).

Esperanto i jego wynalazca.

Stosunki międzynarodowe tak się obecnie ułożyły, że żaden większy kupiec, żaden większy przemysłowiec nie potrafi się obejść bez znajomosci przynajmniej dwóch obcych języków. Panującymi językami, to znaczy językami, z którymi można cały świat objechać i wszędzie się rozmówić, są dzisiaj język angielski i francuski. Nie każdy jednak może się zdobyć na nauczenie się tych języków, a zresztą nauczenie się ich nastręcza poważne trudności. Ażeby tę trudność usunąć, pojawiła się w końcu XIX. wieku myśl, ażeby języki narodowe, obecnie będące w użyciu, zastąpić językiem międzynarodowym, językiem, któryby był bardzo łatwy do nauczenia się dla każdego, a pozwalał ludziom różnych narodowości nawzajem się porozumiewać. Naturalnie nie może być mowy o zastąpieniu języków dzisiejszych nowowynalezionym językiem międzynarodowym. zwanym „esperanto“. Niema mowy, ażeby kiedyś wszyscy ludzie mówili tym językiem, bo na to musieliby się wszyscy wynarodowić, co jest z jednej strony niemożliwem, z drugiej fantastycznem marzeniem.

„Esperanto“, język, wynaleziony przez naszego rodaka, warszawiaka doktora Zamenhofa, święci jednak już dzisiaj niemałe tryumfy. Zajmuje się nim bardzo wielu ludzi w całym świecie, a najlepszym tego dowodem jest fakt, że największe arcydzieła literatury europejskiej, „Iliada“ Homera, „W Szwarjcaryi“ Słowackiego, dzieła Szekspira, Shelley'a, Byrona są już dzisiaj na język „esperanto“ przetłómaczone.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Paryżu kongres „esperancistów“. Kongres odbył się, jak zwykle, kongres. Dużo mówiono, dużo gadano i bawiono się doskonale. Dr. Zamenhof, wynalazca „esperanta“, był owacyjnie przyjmowany.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret dra Zamenhofa, wynalazcy języka międzynarodowego.

Samobójstwo w chwili szału.

Parę dni temu rozegrała się w Krakowie nadzwyczaj wstrząsająca tragedya.

Młoda, bo 27-letnia kobieta p. Stanisława Holiżanka, córka właściciela pracowni stolarskiej, odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru.

Powody samobójstwa, jak zwykle, nieznane nam bliżej; w każdym jednak razie nie mogła to być drobnostka, skoro młoda kobieta targnęła się na swe życie.

Wypadki samobójstwa są na porządku dziennym. zachodzą one tak często, że przyzwyczailiśmy się do nich po części, że na rozstrojonych naszych nerwach jedynie jakieś niezwykłe samobójstwo, potrafi zagrać.

Tutaj miejsce będzie chyba zastanowić się nad tem, co właściwie wpływa na samobójców w takim stopniu, że zdoła ich uczynić posłusznem i biernem narzędziem ślepego szału, co jest tego powodem, że ludzie młodzi, na których spoczywają częstokroć nadzieje rodziny i kraju, których zdolności obiecywały tak wiele, że ludzie ci widzieli w samobójstwie jedyne ocalenie.

Wszak wszyscy oni w śmierci widzą wybawienie. przez śmierć starają się uwolnić z okropnych objęć beznadziejnej rozpaczy czy cierpień, śmierć ma ich zaprowadzić w krainę szczęścia, którego bramy były dla nich za życia zamknięte. Śmierć jest dla samobójców uosobieniem wiecznego szczęścia, obietnicą, że wszelkie cierpienia doczesne ukończą się bezpowrotnie, że pozbawiwszy się życia, zażywać będą stale rozkoszy, nie zaznając natomiast goryczy i zawodów. W każdym więc razie, nawet w chwili, kiedy pozbawiają się życia, żywią ci ludzie bodaj małą nadzieję, że poza doczesnym światem mąk i zawodów istnieje jakiś świat iuny, a lepszy, gdzie rozpocznie się dla nich nowe życie.

Jednym z pierwszych powodów, które składają się na to, że człowiek w sile wieku odbiera sobie życie jest miłość, uczucie, które z jednej strony wpływa na umysł ludzki w wysokim stopniu uszlachetniająco i sprawia, że człowiek ten zapomina o wszystkiem, co go otacza, oddany całkowicie jedynemu uczuciu, z drugiej strony jednak jest często przyczyną katuszy, a nawet samobójstwa pod wpływem zbyt bolesnego zawodu. Kto wie, czy zmarła nie jest ofiarą tego potężnego uczucia, może zawiedziona w swych marzeniach, zbudzona ze złotego snu. widziała się zmuszoną zejść z tego świata w tak tragiczny sposób.

Ilustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy śp. Holiżanka pada, po strzeleniu do siebie z rewolweru.

Szkoła koszykarska w Niżniowie.

Niemcy zaczynają krzyczeć „gwałtu“! Rozwój przemysłu krajowego w Galicyi mocno im się nie podoba, a nawet zaczyna ich boleć. Niedawno urządzili doskonałą krucyatę przeciwko rodzącemu się u nas poczuciu sił własnych na polu handlowem i przemysłowem, a źle ukrywany ich gniew świadczy najdobitniej o skuteczności usiłowań naszych wyzwolenia się z pod niemieckiej opieki.

W ostatnim numerze fachowej gazety „Korbindustrie- und Weidene Zeitung“ czytamy z wielkim lamentem napisany artykuł, w którym autor, zwraca uwagę kół interesowanych niemieckich na niebezpieczeństwo grożące koszykarstwu i plantatorom wikliny w Niemczech, ze strony Galicyi.

Istotnie koszykarstwo w Galicyi wzrosło, dzięki opiece Wydziału krajowego, w ostatnim dziesięcioleciu bardzo znacznie, a wyroby koszykarskie galicyjskie wypierają nietylko towar niemiecki z targów polskich, ale nawet zaczynają sobie zdobywać miejsca zbytu zagranicą.

Dotychczas jeszcze trzymają pierwszeństwo pod względem wyrobów koszykarskich i uprawy wikliny Francuzi i Niemcy, teraz przybywa im poważny konkurent, Galicya. Szczególnie w Anglii cieszą się wiklinowe kosze podróżne wyrobu galicyjskiego, znacznym popytem. Oprócz gotowych wyrobów idą za granicę także duże transporty pręciny łuszczonej, a wiklina galicyjska poszukiwana jest także w Ameryce.

Hodowla wikliny ma u nas wielką przyszłość, nietylko bowiem, że daje ona znaczne dochody właścicielowi, ale zabezpiecza także brzegi rzek i nizko położone miejsca od podrywania wody, niestety jednak ludność nasza nad rzekami mieszkająca nie umie jeszcze należycie wartości racyonalnej uprawy wikliny ocenić. Koszykarstwo w Galicyi ma wysokie znaczenie jako przemysł domowy, może dać bowiem zajęcie i utrzymanie setkom biednej ludności włościańskiej.

Szkół koszykarskich istnieje w Galicyi kilkanaście. Okrazek nasz przedstawia jednę z nich,



Samobójstwo w przystępie szału: Stanisława Holiżanka zadaje sobie śmierć wystrzałem z rewolweru.



Tragiczna śmierć fortepianisty: Zdzisław Gabryelski.

istniejącą od lat czterech w Niżniowie, pow. tłumackiego, w majętności p. Jana Urbańskiego. Szkoła ta daje pomieszczenie dwudziestu wychowankom, który po objęciu trzyletniej nauki idą na swój chleb i krzewią dalej ideę przemysłu koszykarskiego.

Kilku wychowanków tej szkoły wyjechało do Ameryki, gdzie znalazło korzystne zajęcie w tamtejszych fabrykach koszykarskich.

Szkoła koszykarska w Niżniowie pobiera subwencye od rządu, Wydziału krajowego i Wydziału powiatowego i zostaje pod kierownictwem p. Kopkowicza. W Niżniowie, położonym ponad Dniesrem, wiklinę własną uprawia właściciel Niżniowa pan Urbański.

Mordowanie dzieci w Odessie.

(Do illustracyi tytułowej).

Barbaryzm czynowników rosyjskich, usiłujących przemocą utrzymać się przy władzy, doszedł do szczytu podczas rewolucyi w Odessie. Teraz dopiero, gdy mieszkańcy odetchnęli po krwawych dniach rewolucyi, wychodzą na jaw coraz nowe fakta zdziczenia i okrucieństwa przedstawicieli carskiej autokracyi. Co się tam bowiem działo? Zaszły tam wypadki, za które płoniliby się rumieńcem serdecznego wstydu średniowieczni Goci, ba, nawet starożytni Celtowie. Czynownicy, rozpasani mordami i pożogą krwi, posunęli się do tego stopnia, że czynów ich wstydzić się musi nasza cywilizacya, że wstydzić się ich musi nasz wiek.

A oto przykład.

Podczas rewolucyi odesskiej zakazano komukolwiek pokazywać się czy to w oknach, czy to na balkonach. Tymczasem zdarzyło się, że właśnie w chwili, kiedy jedną z pryncypalnych ulic przejeżdżała rota kozaków, z okna jednej kamienicy padł strzał. Kozacy wpadli natychmiast do domu. urządzili ścisłą rewizyę i w pokoju, z którego padł strzał, znaleźli dwóch chłopców, jeden z nich miał lat 15, drugi 13, którzy bawili się strzelbą znalezioną przed chwilą gdzieś na ulicy. Zabrano tedy dzieci natychmiast do więzienia i po długiem śledztwie skazano na śmierć przez powieszenie.

I wyrok wykonano w ubiegłym tygodniu. Na dziedzińcu więziennym ustawiono hańbiącą szubienicę i w asystencyi całej sotni kozaków oraz popa powieszono te dzieci, które sobie jeszcze nawet niezdolne były zdać sprawy ze swego postępowania. Ale czynownictwo rosyjskie wypełniło swój obowiązek: ukarało winnych, choć ci winni to były dzieci.

Illustracya nasza, zamieszczona na tytułowej stronie pisma przedstawia tę haniebną chwilę.

Tragiczny zgon fortepianisty.

Mania sabobójcza to jedna z wielkich, poważnych epidemii nurtujących społeczeństwo, epidemii, których rozsadniki znakomicie prosperują na gruncie nerwowości, neurastenii i pokrewnych im chorób umysłowych, cechujących nasz wiek. Nie ma tygodnia, niema dnia prawie byśmy nie słyszeli o tragicznych wypadkach samobójstwa, zdarzających się zarówno między młodzieżą, jak dorosłymi.

Ostatni wypadek samobójstwa ś. p. Zdzisława Gabryelskiego zaintrygował niezwykle nasze miasto. Co skłoniło człowieka w sile wieku, lubianego i znanego w całym Krakowie, finansowo świetnie sytuowanego — do rozpaczliwego kroku? Nerwy! nieszczęsne nerwy. W dzień katastrofy nie wiedziano nic w domu o tragedyi, która wieczorem rozegrała się w gabinecie denata. Dopiero zrana stary służący spostrzegł przy łóżku trupa swego pana. Obok leżał rewolwer, a szeroka kałuża krwi świadczyła aż nadto wymownie o przyczynie śmierci.

Ś. p. Gabryelski liczył w chwili zgonu lat 40. Urodzony Krakowianin kończył gimnazyum w ojczystem mieście — poczem na studya uniwersyteckie udał się do Lipska i Berlina, gdzie uczęszczał na fakultet filozoficzny. Z czasów tych pochodzi kilka dzieł zmarłego. Po ukończeniu studyów i odbyciu dalekich naukowych podróży, przystąpił do spółki w składzie fortepianów prowadzonego dotychczas przez swoją matkę. W niedługi czas wyjeżdża ś. p. Zdzisław na specyalne, fachowe studya do Czech, gdzie jako zwykły robotnik praktykuje u znakomitych firm fortepianowych Petroffa w Königraetzu i Nowaka w Pradze. Po powrocie zerwał wszelkie stosunki handlowe łączące go z podobnemi firmami niemieckimi i od tego czasu zaopatrywał swój handel li tylko towarami firm czeskich. Nosił się nawet z myślą założenia wielkiej fabryki fortepianów w Krakowie, gdy tragiczna śmierć przerwała wątek pracowitego jego żywota. W numerze niniejszym zamieszczamy portret przedwcześnie zgasłego przemysłowca — obywatela.



Zakończenie procesu Murri-Bonmartini: Tullio Murri.



Zakończenie procesu Murri-Bonmartini: Linda Murri.

Zakończenie procesu Murri-Bonmartini.

Po dziesięciu miesiącach zakończył się wreszcie w Turynie słynny proces, znany pod nazwą procesu Murri-Bonmartini.

Przedmiotem jego była zbrodnia, spełniona jeszcze w roku 1902. W willi Bovilaque w Bolonii znaleziono trupa hr. Bonmartini. Dochodzenia przez długi czas były bezskuteczne, dopiero w miesiąc potem prof. Murri, teść zamordowanego hrabiego, zadenuncyował syna swego Tullia, jako mordercę swego zięcia. Przyczyn zbrodni szukano w nieszczęśliwem małżeństwie hrabiego z Lindą Murri. Dochodzenia wykazały, że mordercą był rzeczywiście Tullio Murri, któremu pomocni byli lekarz Pio Naldi, kochanka Tullia Rozina Bonetti. Pieniądze dla Naldi'ego, obiecane mu jako nagrodę, dał kochanek hrabiny Lindy, prof. Secchi.

Do rozprawy powołano 364 świadków, 17 rzeczoznawców, obrony podjęło się 21 adwokatów. Wyrok zapadł dopiero onegdaj, po 10 miesiącach rozprawy, a był to wyrok iście drakoński. Tullio Murri skazany został na 30 lat więzienia i 10 lat policyjnego dozoru, Naldi taksamo, Linda Murri na 10 lat więzienia, Secchi na 10 lat, Bonetti zaś na 7 lat więzienia.

Wyrok ten obudził i w prasie i wśród publiczności i w kołach prawniczych oburzenie, jako zbyt surowy.

Podajemy obok fotografie głównych skazanych.



Szkoła koszykarska w Niżniowie: Grupa uczniów z profesorem.



Ze świata

Łatwowierność dawnych czasów i nasze doświadczenie życiowe. — Miłość poste restante. — Ubogi medyk i szlachetna pani. — Rozczarowanie. — Krwawy dramat małżeński. — Rzeźbiarz Cifariello zabija swoją żonę. — Dwie teściowe.

Z przekąsem, a nawet uśmiechem politowania mówimy często o łatwowierności i naiwności ludzi z „dawnych czasów“, dodając z całą samowiedzą naszej wyższości taką zazwyczaj uwagę:

— W naszych czasach na podobny kawał nikt się już nie złapie, chyba dziecko, albo wieśniak z zapadłej wsi.

Ale mimo naszych przechwałek, pomimo rzekomego doświadczenia życiowego ludzie i to inteligentni idą na lep najniezgrabniejszych obietnic, zupełnie jak w „dawnych“ czasach. Drastycznym przykładem z tej dziedziny zajmowała się obecnie policya w Pradze. W październiku ubiegłego roku dzienniki czeskie, wychodzące w Pradze, umieściły kilka razy z rzędu następujący inserat: „Medyk, potrzebujący pieniędzy do ukończenia studyów, szuka szlachetnej kobiety, którаby mu pożyczyła potrzebnych na to pieniędzy. Przyrzeka nietylko dozgonną wdzięczność, ale także i rękę do małżeństwa jeśli owa dama jest wdową lub panną. Oferty pod adresem: Wierna miłość do zgonu“ do administracyi dziennika“.

Po kilku dniach nadeszło 170 ofert, przeważnie od wdów i panien, które miały ochotę wyjść zamąż. Inserent z przyjacielem swoim, wtajemniczonym w tę sprawę, przestudyował dokładnie wszystkie oferty, odłożywszy na bok kilkanaście „najkorzystniejszych“. Pomiędzy niemi najbardziej spodobała mu się oferta pewnej „niezamężnej damy“, która wyraźnie oświadczyła, że gotową jest do wszelkich ofiar pieniężnych, jeżeli nieznany medyk przystąpi do ślubnych związków. Owa dama nie podała swojego nazwiska, ale kazała listy posyłać do Chotzen „poste restante“.

Medyk natychmiast odpisał szlachetnej damie. „Najłaskawsza! — pisał mianowicie — Proszę mną rozporządzać. Niewygasła wdzięczność i wierność, dozgonna miłość — oto co może ofiarować ubogi student. Dzięki Tobie, o szlachetna pani, młody, inteligentny człowiek, rokujący na przyszłość jak najlepsze nadzieje, może ukończyć nauki i stać się najszczęśliwszym pomiędzy szczęśliwymi, Na razie potrzebuję 1.600 koron, o które proszę pod adresem Stefan Kobr, słuchacz medycyny, Praga „poste restante“. Obyśmy się rychło mogli zobaczyć.“

Szlachetna dama wkrótce odpowiedziała, wysyłając 1.600 koron dla ubogiego medyka. I odtąd pomiędzy medykiem a szlachetną damą rozpoczęła się gorliwa wymiana listów. Medyk doniósł swojej pani, że zdał z wyszczególnieniem egzamin, a obopólną radość z tego powodu, ukoronowali oboje zjazdem w Pardubicach. On nie pytał jej o nazwisko, ona też nie mówiła, jak się nazywa. On prosił o dalsze 1000 koron na drugi egzamin, ona widocznie była na to przygotowaną, zaraz bowiem żądaną kwotę wręczyła ubogiemu studentowi. On był podwójnie oczarowany, gdyż owa szlachetna dama była młodą i bardzo piękną dziewczyną. Jako przyzwoita panienka musiała na oznaczony czas powrócić do domu, on jako pilny student spieszył się do nauki. Po krótkiem sam nam na sam każde z nich odjechało w swoją stronę.

Drugi egzamin wypadł równie świetnie jak pierwszy, potem nastąpił powtórny zjazd w Pardubicach. On znowu nie pytał o jej nazwisko, tylko prosił o 1000 koron z powodu trzeciego egzaminu. Otrzymał je i powrócił do Pragi. Oczywiście trzeci egzamin wypadł równie pomyślnie jak poprzednie z wyszczególnieniem. Tym razem nie było zjazdu, tylko Stefan Korb listownie zażądał 1.800 koron pod adresem dra Ottona S. poste restante w Pradze. Ów dr. Otton S. jest rzeczywiście lekarzem. Gdy Korb przybył na pocztę po pieniądze, nie chciano mu ich wydać bez legitymacyi. Dr. S. zawiadomiony o posyłce pieniężnej przez pocztę, domyślił się, że to jakaś podejrzana sprawa i zawiadomił o tem policyę. Agenci, którzy już oddawna obserwowali Kobra, żyjącego nad stan, uwięzili go tak jego samego, jak i przyjaciela jego kantorzystę Cankowsky'ego. Kobr przyznał się do wszystkiego, opowiedziawszy komisarzowi powyższą historyę.

Ów Kobr jest kilkakrotnie karanym oszustem. Pieniądze, które wyłudził od naiwnej dziewczyny puszczał z przyjacielem swoim po rozmaitych tinglach. Mniejsza o Kobra, takich rycerzy lekkiego przemysłu jest mnóstwo i to wcale nie zadziwia. Ale żeby na tego rodzaju inserat zgłosiło się aż 147 pań — to świadczy chyba, że w XX wieku jest jeszcze aż nadto naiwnych ostot.

W Rzymie ogromną sensacyę wywołał krwawy dramat, którego bohaterem jest Filippo Cifariello, genialny rzeźbiarz włoski. Cifariello, liczący dzisiaj 38 lat życia, dwoma strzałami z rewolweru zabił żonę swoją Maryę, liczącą 34 lat życia, słynną piękność rzymską. Cifariello poznał żonę swoją w r. 1891 jako pannę Browne, która naówczas występowała na scenie jednego z teatrzyków rozmaitości jako śpiewaczka. Marya Browne, sierota po inżynierze francuskim, miała niezły głos, więc matka jej pozostawszy prawie bez środków do życia, trzynastoletnią zaledwie Maryę oddała na scenę. Jeździły po rozmaitych miastach europejskich, od Paryża do Moskwy, od Wiednia do Konstantynopola, a wiodło im się wcale dobrze, gdy Marye dorósłszy, zaczęła czarować mężczyznę więcej swoją urodą, niż głosem. Uroda istoty podobno płaskiej, złej i próżnej.

W Rzymie występowała jako Maryz de Bussy. Namiętny Włoch o gorejących oczach, genialny Cifariello rychło pozyskał jej względy. Oddała mu się zupełnie. Dlaczego Cifariello poślubił szansonistkę, z miłości, czy też, jak mówią niektórzy, z sumienności, nie wiadomo, dosyć, że się pobrali. Cifariello, stojący prawie u szczytu swej sławy, urządził z komfortem swoje gniazdko, do którego niestety wprowadziła się matka Maryi. Teściowa w domu nie jest czynnikiem zgody małżeńskiej, zwłaszcza taka teściowa jak pani Browne, typowa próżniaczka i intrygantka. Ba — niedosyć na tem. W jakiś czas później sprowadziła się do Cifariella niejaka pani Lunel, siostra teściowej, pani Browne, osoba, jak powiada nasz wieśniak, z piekła rodem. Niejako dwie teściowe. Siła złego na jednego...

I rozpoczęło się też piekło domowe. Przedewszystkiem wszystkie trzy panie o gospodarstwie domowem pojęcia nie miały. Zdawało im się widocznie, że świat jest wielkim teatrem „Varieté“, że pieniądz zawsze się znajdzie, że praca jest rzeczą innych ludzi. Gospodarowały też tak, jakgdyby nazajutrz miał i tak przyjść potop, albo koniec świata. Hulaj dusza!... Pani Marya Cifariello, wspaniała blondynka, do gospodarstwa nie mięszała się wcale, dosyć bowiem miała do roboty z pielęgnowaniem. Zresztą flirtowała, a później od flirtu przeszła do bardziej realnych stosunków.

Cifariello, aż do szaleństwa gwałtowny, wybuchał czasami jak wulkan. Pewnego razu wyrzucił obydwie teściowe z psami, papugami i kotami. Ale zacne niewiasty wracały natychmiast w domowe progi, łasząc się jak obite żelaznym prętem pantery. Pani Browne, prawdziwa teściowa, zgrzytając zębami, powtarzała „canaille“ i po kilku tygodniach rozpoczynała się dawna gospodarka.

Z żoną miewał Cifariello również ciągłe zatargi, Rozchodzili się nawet kilka razy, ale powracali do siebie, kłócąc się nieustannie i godząc. Wreszcie postanowili rozejść się na dobre. Marya wyjechała do Brazylii, ażeby tam występować jako śpiewaczka. Cifariello zapadł w Rzymie na ciężką neurastenię, a wkrótce Marya powróciła do Rzymu równie chora. Oboje chorzy, przygnębieni, postanowili nadal żyć razem. I znowu zgoda nie długo trwała. Rozpoczęły się niesnaski z powodu jakiegoś bankiera, którego Marya obdarzała swoimi względami. Pewnej nocy małżonkowie kłócili się, to znowu godzili przy szampanie, aż wreszcie nad ranem Cifariello, oszalały z gniewu, zastrzelił żonę.

Kącik humorystyczny.

Nasze dzieci.

— Cioteczko, pokaż paznokcie!

— A to znów poco?

— Bo tatuś wczoraj mówił, że ciociażby wszystko rozdrapała!

Z pamiętnika cukiernika.

— Niejedno odtaje dopiero przy „lodach“.

Równoważnik.

— Ależ ten brylant w pierścionku fałszywy!

— Nic nie szkodzi. I banknot, którym go płaciłem — był także fałszywy.



Poemacik królowej włoskiej.

Królowa Helena, księżniczka czarnogórska z rodu, odziedziczyła po ojcu zdolności poetyckie i daje im niejednokrotnie folgę. Świeżo napisała poemacik, który pod pseudonimem „Błękitnego motyla“, ukazał się w pismach rosyjskich. Poemacik ów, trzymany w tonie południowo-słowiańskich romanc, opiewa w przekładzie:

WOJNA.

Tak do księcia rzecze księżna:
— „Czyż nie straszną wojna, panie?
Czyż nie straszne te zapasy;
Ta rzeź, ten krwi ludzkiej upust,
Te na zlanej krwi ciemicy
Ciała z ran otwartych mnóstwem;
Te w powietrzu bujające
Jęki, w których młode życie
Zdala gniazda rodzinnego
Szle swe skargi w głuchy błękit?
Czyż nie straszną wojna, panie?
Czy nie straszną śmierć na wojnie?
I czy to się nie odmieni?
Czy nie przyjdzie czas, co zepchnie
Ową grozę i w jej miejsce
Wieczny pokój nam sprowadzi
I pozwoli, by ojczyzna
Nie żądała krwawych ofiar?“

Tak mówiła młoda księżna...
Książę jednak nic nie odrzekł,
Tylko ujął ją za ręce,
Za jej drobne, białe ręce,
Co zadrżały w jego dłoniach
I do okna powiódł księżnę,
Do jasnego powiódł okna,
Pokazując plan zamkowy.
Gdzie igrała garstka dzieci.

— „Patrz, jak bawią się maleństwa,
Ozwie się do księżnej wreszcie —
Jak im zgodna ta zabawa
Rumieńcami krasi liczka;
Jak rozjaśnia im oczęta:
Jak serduszkom dzwonić każe,
A duszyczki samem szczęściem
I rozkoszą karmi samą.
Ale, przebóg, co ja widzę?

Oto jakiś spór powstaje,
Twarde wiatr roznosi słowa
I — patrz jeno, ukochana! —
Ci przed chwilą tacy zgodni,
Skaczą sobie już do oczu!
Podzieleni na gromadki,
Wzajem darzą się razami.
A to dzieci,.. Wiedz więc, droga,
Nasze ludy — to też dzieci!
Póki dziećmi pozostają,
Póty pokój zapewniony.
Lecz niech tylko waśń się zjawi,
A z pokoju ani śladu!“

Oto, co powiedział książę.
Księżna słucha, potem spyta:
— „Spojrz! — Czy widzisz tego chłopca,
Co na boku przystanąwszy,
Śmieje się, na walkę patrząc?
Czemu, powiedz mi, o, drogi,
On zapasom owym zdala?“

Książę zaś: „On bowiem właśnie
Najsilniejszy; więc my także
Dokładajmy wszelkich starań,
By ukrzepić w sobie siłę.
Bo wiedz, droga: Tu, na ziemi
Tylko silnych wieńczy pokój!“

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Oczy całego świata zwrócone są dzisiaj ku nieznanej do niedawna, dzisiaj już tak głośnej miejscowości, ku Portsmouth, w Ameryce. Tam, w pałacu marynarki amerykańskiej zebrali się bowiem pełnomocnicy Rosyi i Japonii do rokowań pokojowych, tam rozstrzyga się wśród mozolnych konferencyi pytanie, czy wojna ma być dalej prowadzoną, czy też na Dalekim Wschodzie nastać ma pokój.

W chwili tak ważnej, kiedy Japonia zawiera pokój już drugi raz za naszej pamięci, w chwili, kiedy to małe państewko wyspiarskie wchodzi w koncert mocarstw, nie od rzeczy będzie przypomnieć historyczną datę zawarcia pokoju w Simonoseki, zawarcia raczej traktatu, który zakończył wojnę chińsko-japońską. Zakończył ją wprawdzie nie tak, jak tego pragnęła zwycięska Japonia, ale też wtedy koalicya mocarstw europejskich wmieszała się do tego czysto azyatyckiego zatargu i nie pozwoliła Japończykom we własnym swoim interesie wyzyskać należycie ich zwycięstw.

Przypatrzmy się, jak to było.

Rząd chiński po sromotnej przegranej wojnie, mianował swoimi pełnomocnikami do zawarcia pokoju dyplomatów Changa i Szao; Japonia wzdragała się jednak rozpocząć układów, ponieważ pełnomocnictwa delegatów chińskich były bardzo ograniczone, i zawiadomiła rząd chiński za pomocą rządu waszyngtońskiego, że nie ma żadnego celu wysyłać pełnomocników, niezaopatrzonych w dostateczne pełnomocnictwa.



Z wojny ros.-jap.: Zdawkowy pieniądz japoński yen.

Wówczas mianowano w Pekinie dnia 23 lutego 1895 r. Li-Hung-Czanga delegatem w słowach: „Ma on nieograniczone pełnomocnictwo do ułożenia warunków pokoju i podpisania traktatu“. Dopiero wtedy mianowała Japonia w dniu 19 marca swoimi delegatami margrabiego Ito i wicehrabiego Mucu.

Tegoż dnia przybył stary Metternich chiński, Li-Hung-Czang do Simonoseki.

Pierwsze posiedzenie odbyło się w dniu 20 marca, Li-Hung-Czang postanowił propozycyę niezwłocznego zawarcia zawieszenia broni. Nazajutrz sformułowała Japonia warunki, pod którymi byłaby gotowa zgodzić się na zawieszenie broni. Po trzech dniach uznał Li-Hung-Czang te warunki za niemożliwe do przyjęcia i wojna wybuchnęłaby zapewno niezwłocznie nanowo w dawniejszej sile, gdyby tragiczny przypadek nie dał innego obrotu całej sprawie. Tego samego dnia, w którym z powodu wynikłej niezgody zawieszono rokowania, dopuszczono się zamachu morderczego na sędziwego przedstawiciela Chin. Zbrodniarza, który targnął się na życie tak zasłużonego męża stanu, ujęto i po sześciu dniach na dożywotnie ciężkie więzienie skazano.

Tymczasem Japonia, jakby odpokutować pragnęła dobrowolnie zbrodnię jednego ze swoich synów, cofnęła warunki i ofiarowała Chinom zawieszenie broni na 21 dni bez żadnych bliższych zastrzeżeń. W dniu 30 marca rozejm wszedł w życie. Nazajutrz Li-Hung-Czang mógł wznowić już rokowania i przyjąć z rąk Japończyków nowe warunki. W dniu 3 kwietnia odpowiedział, zastrzegając się przeciw ustępstwom terytoryalnym, przeciw kontrybucyi wojennej i przeciw otwarciu nowych wolnych portów. W dniu 9 kwietnia doręczył on Japończykom swoje przeciwpropozycye, na które Japonia odpowiedziała ryczałtowem ich odrzuceniem. W dniu 12 kwietnia wystosowali pełnomocnicy japońscy „ultimatum“ z objaśnieniem, że jest ono stanowcze i nieodwołalne i że od owiedzieć należy na nie w ciągu dni czterech. W dniu 12 kwietnia Li-Hung-Czang założył protest, na który margrabia Ito zauważył nazajutrz, że ultimatum jest krokiem ostatecznym i cofnięte być nie może. W dniu 17 kwietnia obie strony podpisały traktat.


Z wojny ros.-jap.: Kozacy opuszczają zrabowaną wieś chińską.

W toku ustnych rozpraw zarówno Li, jak Ito, wielokrotnie wykazywali, że pokój powinien być oparty na warunkach słusznych i utorować drogę do trwałej przyjaźni obu państw.

Jak się zakończą rokowania pokojowe, podjęte na ziemi amerykańskiej za staraniem prezydenta Roosewelta, dzisiaj, kiedy to piszemy przewidzieć jeszcze niepodobna. Konferencye pełnomocników są bowiem prawie że tajemnicą dla ogółu, a skąpe wiadomości, jakie się stamtąd przedzierają, nie tylko że nie rzucają światła na mrok wątpliwości, jaki nas otacza, ale czasami nawet przyciemniają nasze przypuszczania. Zoryentować się nam przychodzi tem trudniej, że w chwili, kiedy Witte i Komura ważą losy pokoju i wojny na ziemi amerykańskiej, na polach mandżurskich operacye wojenne nie ustają, ale owszem z dniem każdym zdaje się zbliżać wielka bitwa, mająca rostrzygnąć o losie armii Liniewicza. Marszałek Oyama ukończył już podobno zupełnie swój plan operacyjny i czeka tylko skinienia z Tokio, a w razie zerwania rokowań pokojowych, aby się rzucić na Rosyan i urządzić Liniewiczowi taką samą rzeź, jaką wyprawił Kuropatkinowi pod Mukdenem.

Im bardziej zbliża się dzień walnej bitwy między Oyamą a Liniewiczem, tem częściej dają się słyszeć rozmaite uwagi i przypuszczenia na temat Charbina Charbin, ta najdalej na północ wysunięta twierdza rosyjska w Azyi, mająca zawsze stanowić ostatni punkt oparcia dla Rosyan, wygnanych z Mandżuryi, stał się teraz punktem, około którego obracają się zapewne plany generała Liniewicza i plany marszałka Oyamy.

Korespondent wojenny paryskiego „Journal'a“ p. Paweł Erio, wysłany po wzięciu pierwszego korespondenta Ludwika Naudeau do niewoli japońskiej w bitwie mukdeńskiej, do Mandżuryi, w ten sposób opisuje bieg życia codziennego w Charbinie:



Z wojny ros.-jap.: Zdawkowy pieniądz japoński yen.

„Od chwili wybuchu wojny — pisze p. Erio — Charbin rozrósł się ogromnie. Rozwój budowlany trwał do bitwy pod Mukdenem. Wynik tej bitwy wywołał popłoch pomiędzy mieszkańcami i kupcami. Rozpoczęło się wysyłanie na gwałt kobiet i dzieci za Sugarı, za Amur; kupcy zaprzestali sprowadzania towarów tak, że w sklepach brak było nieraz przedmiotów najniezbędniejszych.

Charbin składa się z trzech dzielnic: portowa nad Sungari, z domami Europejczyków i Chińczyków; nowe miasto na wskróś europejskie, gdzie znajdują się wszystkie zarządy wojskowe i cywilne, wreszcie stare miasto, wyłącznie przez Chińczyków zamieszkałe, Dzielnice portową i nową przecina kolej żelazna; stare miasto znajduje się w odległości pięciu wiorst. Droga do starego miasta jest bardzo niebezpieczna: rabują tam, a nieraz i mordują, zarówno w nocy jak i w dzień biały.

Wszystkie trzy dzielnice są jednakowo brudne, a wszędzie kurz duszący daje się we znaki. W czasie pogody tumany pyłu niby mgła zalegają powietrze; gdy deszcz spadnie, trzeba brnąć w błocie po kostki, a czasem i po kolana.

Pomimo tych warunków niedogodnych, do Charbina zbiegają się ludzie z różnych stron, niby ćmy do światła, bo w Charbinie każdy znajduje jakiś pozór życia, każdy przybywający chce odetchnąć nieco po okropnościach wojny, chce się rozerwać, zabawić.

Rozrywek i „przyjemności“ rozmaitych nie brak w Charbinie. Są tam dwa teatry, dające przedstawienia złożone z oper, dramatów i operetek, jest cyrk, są liczne restauracye ogródkowe, zawsze pełne. Przez jakiś czas były też „szansonetki“, ale ponieważ zbyt często w zakładzie zdarzały się awantury, więc go zamknięto.

Dzielnica portowa roi się od rozmaitego gatunku ulicznic i kobiet „lekkich obyczajów“. Włóczą one w błocie swe kosztowne ubrania, rzucają garściami pieniądze, — bo je też garściami zbierają. W restauracyach i ogródkach grają kapele wojskowe — orkiestry prywatne pouciekały pod wrażeniem przegranej bitwy. Uciecha głośna, krzykliwa, widnieje na każdym kroku. Ale w tem życiu jest coś nienaturalnego, męczącego, nieznośnego. Łatwo poznać można, że uciecha to sztuczna, szukająca zapomnienia.



Z wojny ros.-jap.: Kulisi, pełniący służbę lokomotywy przy przewożeniu prowiantów dla armii jap. nad rzeką Szak

Ceny, jak dawniej wysokie, doszły w ostatnich czasach do rozmiarów bajecznych. Pokój w hotelu, którego umeblowanie składa się z łóżka żelaznego z siennikiem, stołu, dwóch stołków i prymitywnej umywalni — kosztuje 5—8 rubli dziennie. Dorożkarze żądają za godzinę 2 ruble — w dzień; w nocy płaci się po 8—10 rubli za kurs, bo pieszo chodzić niepodobna. W mieście znajduje się 400 dorożek.

Ceny restauracyjne również są bajeczne: befsztyk kosztuje 2 ruble 50 kop. — do 3 rubli, szklanka kawy — rubla, szklanka mleka 50—60 kop. Butelka wina obrzydliwego 10—12 rubli, butelka szampana — 30 rubli. A butelek tych mnóstwo sprzedają w restauracyach. W sklepach i magazynach drożyzna panuje tak straszna, że trudno sobie coś podobnego wyobrazić. W dodatku towar zawsze jest lichy, w marnym gatunku, nieświeży, a najczęściej fałszowany. Pomimo to ruch w handlu olbrzymi; pieniądze płyną strumieniem“.

Jak już wspominaliśmy w poprzednim numerze, zaczynają teraz powracać do Rosyi i uczestnicy owych historycznych batalii nad Jalu, pod Liaojanem i Mukdenem, i obrońcy Portu Artura i ci, co brali udział w historycznej bitwie morskiej pod Cuszimą. Pisma rosyjskie zamieszczają obszerne interwiewy z ocalałymi w tej bitwie marynarzami. Z opowiadań ich wynika, że klęska Rosyan była nie tyle straszną, ile haniebną, bo była okropnym pogromem, zagładą.

W „Birż. Wied.“ ukazała się rozmowa z ocalałym marynarzem rosyjskim z krążownika „Ural“. Marynarz na zapytanie, czy Japończycy starali się ratować ginących Rosyan, odpowiedział: — Starali się, bardzo się starali: sam widziałem, jak marynarze japońscy z narażeniem własnego życia rzucali się do wody i ratowali moich kolegów od strasznej śmierci. Oto powiem prawdę: choć Japończyk jest naszym wrogiem, lecz pokochałem go bardzo. Jaki też to dobry, łaskawy, uprzejmy człowiek!...

Opowiadacz użalał się natomiast bardzo, na obchodzenie się urzędników z konsulatu rosyjskiego w Szanghaju: „Wcisnęli nas na sam spód okrętu francuskiego, śmierdziało tam od skór i tak jechaliśmy do domu, a w kabinach na górze jechały damulki port-arturskie, bawiące w Szanghaju. O takie panie to dbano!“

Jest istotnie charakterystyczne, że wszyscy niemal jeńcy rosyjscy, zgodnie stwierdzają, że Japończycy lepiej się z niemi obchodzą, niż ich własne „naczalstwo“.

A propos klęski pod Cuszimą zamieszcza fejletonista petersburskiego „Kraju“ następującą historyę wojennego statku rosyjskiego:

„Był sobie w Hamburgu stary zużyty parowiec „Lahn“. Wciągnięty do przystani, oczekiwał nie naprawy, ponieważ o naprawie tej ruiny nikt nie myślał, ale chwili, w której sprzedany zostanie na bruch. Los jednak gotował „Lahnowi“ jeszcze świetną przyszłość. Jest w Rosyi hr. Strogonow, pan



Baron Komura. O. Takahira.

Z wojny ros.-jap.: Pełnomocnicy japońscy do rokowań pokojowych na dworcu w New Jorku.

możny i kochający ojczyznę, dla której pragną uczynić coś godnego siebie. Ofiarował więc milion cały na nabycie szybkiego parowca oceanowego, któryby mógł pełnić przy eskadrze admirała Rożdestwieńskiego służbę wywiadowczą i mieć na pokładzie balon na uwięzi z oddziałem żeglarzy napowietrznych. Nie znając się osobiście na technice marynarskiej, powierzył hr. S. nabycie i urządzenie statku dwom marynarzom z zawodu, niegdyś wojskowym, a dziś urzędującym w zarządzie Towarzystwa „Floty ochotniczej“. Pełnomocnicy pojechali za granicę, gdzie olśniła ich możliwość nabycia parowca „Lahn“. Nie chcieli pozwolić, by starowinę rozebrali handlarze starzyzny żelaznej. Woleli, aby zatonął jak bohater. Zapłacili milion i szczęśliwie przezwyciężywszy przeszkody, przyprowadzili statek do Libawy. Miał chwilę tryumfu, gdy go tam powitano. Ale nie sądzoną mu była śmierć bohaterska. Po paru próbach przekonano się, że niesposób brać go z eskadrą, a i balon, choćby na innym zabrany statku, uznano za nieodpowiedni. Nie pożeglował więc „Lahn“, przezwany „Rusią“, na oceany, których zresztą nigdy w ciągu długiego żywota nie widział. Spoczął w Libawie i sprzedaż na bruch już go nie minie... Był jeszcze stary statek „Deutschland“ — było jeszcze dużo, dużo innych statków starych, niezdolnych do niczego. I z takich statków porobiono pancerniki, torpedowce i kontrtorpedowce“.

I dziwić się teraz, że Rosyanie ponieśli taką ogromną klęskę na morzu. Z pudłami obitemi blachą trudno stawać do walki z pancernikami japońskiemi.

Jedna z illustracyi naszej przedstawia rozbitków z bitwy pod Cuszimą, którzy szczęśliwym trafem ocaleli i wydostali się na brzeg japoński. Biedacy, zgłodzeni i przerażeni, błagają o litość Japończyków, których widzą dopiero po raz drugi; raz ich widzieli podczas bitwy i to tylko przelotnie, drugi raz stają przed nimi teraz z prośbą o przytułek i żywność. Nie spodziewali się, że Japończycy tak się z nimi będą obchodzić; byli pewni, że ich na brzegu pomordują, a tymczasem spotkali ludzi dobrych, rozumiejących i odczuwających niewolę bliźniego. Zaiste, co za los!

Podajemy też w dzisiejszym numerze fotografię zdawkowej monety japońskiej, yen.

Pełnomocnicy japońscy, zajęci na bruku nowojorskim stanowią dzisiaj ogólny przedmiot uwagi całego świata. Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię obydwu głównych pełnomocników.



Z wojny ros.-jap.: Ćwiczenia nowoprzybyłych z Europy wojsk na dworcu w Charbinie.

Trzecia illustracya przedstawia Japończyków, uchodzących po zrabowaniu wsi chińskiej.

Rezultaty konferencyi pokojowej są dzisiaj już po części znane.

Jak utrzymują dzienniki amerykańskie, punkty przyjęte dotyczą odstąpienia półwyspu Laodunu z Portem Artura i Dalnym na rzecz Japonii, wycofania się Rosyi z Mandżuryi, odstąpienie kolei Charbin-Dalnyj Chinom, oddania kolei pod protektorat Japonii, uznania przez Rosyę polityki otwartych drzwi w Chinach. Punkty, dotyczące odstąpienia Sachalina i zapłaty kosztów wojennych, omawiano również, lecz nie osiągnięto dotąd zgody co do nich i tymczasem przystąpiono do omawiania dalszych punktów. Trudno sobie przedstawić większy chaos, jak te niezliczone telegramy, interwiewy i wrażenia, z Portsmouthu posyłane na świat cały. Ale cokolwiek piszą o sposobach zachowania się tej lub owej strony, są to tylko nieznaczące szczegóły ogromnej wagi samej konferencyi, gdyż równie ważnej od czasów kongresu berlińskiego świat nie widział. Czy konferencya doprowadzi do skutku? Czy nie zamieni się ona na konferencyę kilku mocarstw? Oto pytanie zasadnicze.

Lista delegatów, którzy biorą udział w konferencyi pokojowej, jest następująca: Delegaci rosyjscy: prezes komitetu ministrów p. Witte, bar. Rosen, dalej ambasador rosyjski w Pekinie Pokotiłow, prof prawa międzynarodowego na uniwersytecie petersburskim Martens, dyrektor departamentu Szipow, sekretarz p. Wittego, p. Korostowiec, urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych pp. Samoiłow i Nabokow, sekretarz legacyjny p. Planson. Delegaci japońscy: bar. Komura, poseł japoński w Waszyngtonie p. Takahira, referent w tokijskiem ministerstwie spraw zagranicznych Denison (amerykanin z pochodzenia), sekretarz bar. Komury, p. Sato, dyrektor biura spraw politycznych, Jomada, urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych Adaszi, kanclerz konsulatu japońskiego w Chicago Idzinii, sekretarza Hondo i Koniszi. Obie strony mają także przy sobie przedstawicieli armii i marynarki



Z wojny ros.-jap.: Rozbitki z eskadry Rożdiestwieńskiego po bitwie pod Cuszimą błagają o litość spotkanych na brzegu Japończyków.

KRONIKA LWOWSKA.

(W jaki sposób p. prezydent Michalski rozwiązał kwestyę drożyzny mięsa. — Prosimy o nieco cierpliwości. — Kiedy powstanie miejski zakład pogrzebowy? — Co na to p. Kurkowski? — Najnowszy pomysł bez skutku. — Lokator kamienicy Sobieskiego. — Zaprzysiężenie prezydenta. — Oficerowie rumuńscy i zawikłania dyplomatyczne. — Rozwiązanie p. Weinstocka. — Jak się dzielą ludzie? — Pralnia wojskowa a skolski byk. — Handel żywym towarem. — Co na to pomoże? — Kiedy dowiaduje się policya i skąd? — Inserat o niedźwiedziu. — Drugi inserat. — Dziecko do odstąpienia. — Substytucya matki. — Waryatka. — Szef perswaduje. — Wyjaśniający list. — Siarczysy policzek. — Czy było warto?).

Możemy spać spokojnie. Niepowołani krzykacze narobili wprawdzie hałasu z powodu drożyzny mięsa, nieproszeni doradcy podali wiele praktycznych środków zaradczych, rzeźnicy ogłosili odezwę, wyjaśniającą dobitnie, że ludność miasta powinna im być wdzięczną za to podwyższenie cen mięsa i kupować jak najwięcej, bo oni, rzeźnicy, dla podniesienia godności stanu wkrótce jeszcze więcej podniosą ceny mięsa — a na to wszystko prezydent Michalski, jak zawsze szybki w decyzyi i w wykonaniu, oświadczył, że żadne względy koteryjne nie wstrzymają go od bezzwłocznego wystąpienia przeciw drożyźnie i — wyjechał na kilkutygodniowy urlop do Szwajcaryi. I już dobrze. Wprawdzie jeszcze płacimy za mięso horendalne pieniądze i płacić dalej będziemy, wprawdzie prezydent Michalski kąpie się obecnie w Szwajcaryi i długo jeszcze tam zostanie, ale spać nam wolno spokojnie, bo prez. Michalski już postanowił kiedyś potem, po powrocie zabrać się do tej sprawy. A więc tylko trochę cierpliwości a wszystko będzie dobrze.

Taksamo prosimy o nieco cierpliwości wszystkich przyszłych nieboszczyków, tj. tych obywateli, którzy mieli zamiar w tych czasach jakimkolwiek sposobem umrzeć i dać się pochować w miejskim zakładzie pogrzebowym. Sprawa utworzenia tego zakładu została bowiem odroczoną, gdyż odnośna komisya chce jeszcze zastanowić się nad tem, czy podobny zakład wogóle opłacać się będzie. Ostrożni członkowie komisyi znając pech magistracki obawiają się, że ludność lwowska przestanie umierać, skutkiem czego miejski zakład pogrzebowy musiałby zbankrutować. Nadto groziłoby miastu przeludnienie a co za tem idzie brak mieszkań, drożyzna pomnożenie liczby egzekutorów, liczniejsze skargi i narzekania na brak porządku, wygody itd. Dlatego sprawę całą odroczono *ad calendas graecas* a tych, co mieli zamiar umrzeć i dać się pochować na raty, tanio i przyjemnie w miejskim zakładzie pogrzebowym, uprasza się o wstrzymanie się z tak ważnym krokiem w swoim własnym, dobrze zrozumianym interesie. Największy przedsiębiorca pogrzebowy p. Kurkowski rozgłasza wprawdzie tendencyjnie, że magistrat nigdy swego zakładu pogrzebowego nie utworzy, wobec czego doradza nie czekać, ale owszem jak najrychlej i najczęściej umierać, są to jednak konkurencyjne, czysto kupieckie sztuczki, które nie zasługują na uwzględnienie.

Lwów nie ma może tyle mikrobów tuberkulicznych, ile prezydent Michalski pomysłów. Jednym z ostatnich jest rzęsiste oświetlenie sali obrad rady miasta w dzień posiedzeń i to jeszcze w biały dzień na dwie godziny przed posiedzeniem. Radni lwowscy nie należą do najpilniejszych i bardzo często posiedzenie odpada dla braku kompletu. Oświetlona sala ma być wabikiem dla przechodzących rynkiem radnych i znakiem, że „jest“ posiedzenie. Ale radni są dowcipniejsi i mimo to na posiedzenia nie przychodzą. bo nie idąc przez rynek nie widzą wcale oświetlenia. Należałoby więc na samym szczycie wieży ratuszowej zawiesić lampę elektryczną, któraby płonęła podczas posiedzeń rady.

Skoro już mówię o prezydencie Michalskim, muszę wspomnieć jeszcze o jego prezydenckiem mieszkaniu. Dopiero co uchwalono dwanaście tysięcy koron na restauracyę mieszkania po Małachowskim w ratuszu i już nawet podobno zabrano się do robót a tu mówią już o innem mieszkaniu dla prezydenta Michalskiego. Michalski ma być lokatorem w kamienicy Sobieskiego! U nas wszędzie interes górą. Uchwalono odkupić kamienicę w rynku, w której kiedyś mieszkał król Sobieski i utworzyć w jej ubikacyach muzeum pamiątkowe. Obecnie powstał projekt inny. Oto zamiast muzeum mają tam umieścić miejskie biuro statystyczne i p. Michała Michalskiego z familią. A to się ucieszy król Jan III. w niebie, skoro się dowie, jak to my uczciliśmy tak drogocenną po nim pamiątkę. Jeszcze mało zaszczytów dostąpił p. Michalski i zachciewa mu się obejmować mieszkanie po królu. Jakby w przewidywaniu tego zamiaru odwrócił się pomnik Sobieskiego na Wałach hetmańskich do ratusza — tyłem.

Mimo to zaprzysiężenie prezydenta i obu wiceprezydentów odbyło się w największym porządku i miało przebieg wcale uroczysty. Zaraz potem deputacya kahalna składała p. Michalskiemu gratulacye a on odpowiadając przyrzekł być dobrym żydem. Na tem zakończył się tydzień polityczny.

Co prawda jeszcze jeden fakt polityczny mam do zanotowania z polityki, ale to już z tej polityki zagranicznej, międzynarodowej. Przyjechali do Lwowa oficerowie rumuńscy i — ażeby nie być przedmiotem gapienia się gawiedzi — nosili strój cywilny. To dało dużo do myślenia tutejszej policyi, która jak wiadomo baczy więcej na mocarstwowe stanowisko Austryi, aniżeli na bezpieczeństwo życia i mienia obywateli.

Zrobił się mały rumor, krótka narada dyplomatyczno wojenna i postanowiono wydelegować na zwiady najznakomiszego znawcę polityki międzynarodowej, agenta policyjnego Weinstocka z poleceniem, by śledził każdy ruch obcych oficerów. Bo nie można było wiedzieć, czy oni rzeczywiście przyjechali do Galicyi według ich twierdzenia tylko celem zakupna koni, czy też może to tylko jest wymówką a oni są szpiegami, albo nawet jakimiś aż anarchistami czy czemś gorszem jeszcze. Tak dumał sobie w swojej c. k. duszy pan rewizor Weinstock i począł bacznie śledzić przybyszów. Przytem uśmiechał mu się jeszcze może jakiś orderek, albo coś może lepszego, gdyby się udało odkryć coś pożądanego. Sunie tedy p. Weinstock za cywilnymi oficerami na dworzec, jedzie z nimi a raczej za nimi do Pustomyt, okrąża ich, trzyma się zdala, widzi wszystko, choć nic nie widzi, wali za nimi do kupców, u których oficerowie kupili konie i wreszcie wraca z nimi do Lwowa I nic... Nie chcieli nic fotografować, kopiować, szkicować, nie mieli bomb, pan Weinstock był w rozpaczy i powiedział sobie: „Ihi na was“!

Ale za to uspokoiła się dyrekcya policyi i cieszy się ogromnie, że całość Austryi pozostała nienaruszoną a ta końsko-dyplomatyczna misya skończyła się na przejażdżce pana Weinstocka do Pustomyt.

Pan Weinstock bowiem jest uczniem lwowskiej policyi, która wszystkich ludzi dzieli na dwie części, tj. na takich, którzy już siedzieli w kryminale i na takich, którzy jeszcze nie siedzieli, ale jeszcze siedzieć będą. Prawdą a Bogiem należy przyznać, że powyższa teorya wobec ostatnich defraudacyj skarbowych nie jest może tak bardzo utopijną.

Nie chciałbym jednak zasmucać szanownych czytelników ponurymi obrazami galicyjskich defraudacyj, do których zresztą jeszcze wrócę i dlatego wybieram coś weselszego.

Chcę mowić o pralni wojskowej, o której słyszy się u nas od szeregu miesięcy i jakoś nie widać bliskiego rozwikłania zagadnienia, gdzie ma stanąć pralnia brudów wojskowych. Sa tacy, którzy chcieliby ją widzieć jak najbliżej serca miasta, są inni, którzy ją odsyłają na ul. Pełczyńską lub jeszcze dalej. Na posiedzeniach rady miejskiej stoczono już wiele zaciętych dysput i dalej jeszcze nie wiemy, gdzie stanie ta pralnia. Przypomina mi to straszną historyę byka skolskiego, która w tej chwili zajmuje umysły rajców skolskich. Sprawa jest za mało delikatna, by się nadawała do publicznej dyskusyi, ale kłopot gminy Skolego z bykiem, którego się pozbyć nie można było, a którego dowcipna rada postanowiła zarżnąć i zjeść nie wiedząc, co z nim począć. przypomina kłopot gminy lwowskiej z pralnią wojskową. Pozbyć się jej, tj. wyrzucić za miasto, byłoby najkrótszem załatwieniem sprawy, bo mamy w mieście dość innych zapachów.

A dalej nigdy nie starzejąca się sprawa handlu żywym towarem. Każdy niemal tydzień dostarcza policyi i sądom nowych handlarzy, którzy na wielką skalę uprawiają ten handel. I jak łatwo... Spotyka sobie taka pani Penziasowa piękną dziewczynę, przyrzeka karyerę, dochody, stroje i wysyła w świat. Ile egzystencyi złamano w ten sposób! Tu nie pomoże samo karanie winnych, ale ciągłe nawoływanie, uświadamianie nieoświeconych mas, przestrzeganie w popularnych ulotnych pisemkach i dziennikach mogłoby raz tamę położyć temu wstrętnemu handlowi. We Lwowie grasują setki takich handlarzy a policya dowie się o nich może po latach — z zagranicznych listów prywatnych, które jej przypadkowo wpadną w ręce. Ale, że u nas policya istnieje dla polityki, więc przepraszam...

W jednym z tutejszych dzienników pojawił się inserat tej mniej więcej treści: „Niedźwiedź, ułaskawiony, chodzący na dwóch łapach, noszący cylinder, palący papierosy, doskonały tancerz do nabycia tanio — oglądać można codziennie między godziną 9—1 przed południem w gmachu *** biuro Nr. 10“. Można sobie wyobrazić, ile osób pragnęło ujrzeć w biurze — niedźwiedzia. Wędrówka nie ustawała, a że w biurze Nr. 10 siedział tylko jeden pan. przeto każdy rozumiał, że to była koleżeńska usługa któregoś z kolegów biurowych owego niedźwiedzia.

W kilka tygodni później pojawił się w tymże dzienniku inserat, w którym jakaś kobieta „ofiaruje“ odstąpienie na własność swego jednorocznego dziecka, blondyna. płci męskiej etc. Na ten inserat otrzymuje kobiecina list: „Proszę się zgłosić z dzieckiem między godziną 9 a 1 przed południem w gmachu *** w biurze Nr. 10, przyjmuję dziecko na własność. Kobieta uradowana „pakuje“ dziecko w powijaki a wstydząc się sama zanieść, porucza tę misyę pierwszej lepszej na ulicy spotkanej dziewczynie z tem, że ma zanieść i oddać dziecko pod wskazanym adresem, a „ten pan już wie wszystko“. Dziewczyna zgłasza się z pakunkiem w biurze Nr. 10 (prezydyalne) i „wręcza“ bębna urzędnikowi.

— Zwaryowałaś babo, czy co, wynoś mi się zaraz, bo cię wyrzucę...

— Ale proszę pana, ja to mam tu zostawić, reszta mnie nie odchodzi, pan już wie wszystko.

— Precz mi stąd waryatko! — ryczał zrozpaczony człowiek, którego chciano w taki okrutny sposób wprowadzić w przymusowe posiadanie żyjątka.

Będen, który dotąd zachowywał się spokojnie, rozbeczał się na dobre a na ten krzyk i płacz nadszedł — szef.

— No, trzeba przyjąć — perswadował szef — co się stało, przepadło...

— Ależ proszę...

— Nic nie pomoże, bierz pan i basta, kiedy pańskie...

Sprawa wyjasniła się długo potem, kiedy ze wszystkich biur zbiegli się koledzy a dziewczyna przedłożyła list, który ze sobą zabrała na szczęście.

Dowcipny autor listu — jak się okazało — był także autorem inseratu o niedźwiedziu. Siarczysty policzek zamknął podobno całą sprawę, ale warto było, bo ludziska zaśmiewali się na śmierć..

W szkole.

Nauczyciel: Jasiu, powiedz-no, z czego żyli dzieci Izraela na puszczy?

Jaś milczy.

Nauczyciel: No, cóż to Pan Bóg zesłał z nieba?

Jaś: Monnę Vannę.

U fotografa na prowincyi.

— Czy pan fotografuje i dzieci?

— Naturalnie.

— A ile to kosztuje?

— Tuzin dwanaście koron.

Klientka po krótkim namyśle: Dobrze. To ja tu później kiedy wrócę. Mam dopiero jedynaścioro?

Znak nieomylny.

— Mój drogi, nie wiesz, w jaki sposób mógłbym się dowiedzieć kto jest najstarszym mieszkańcem tej wsi?

— Pytaj o największego łgarza.

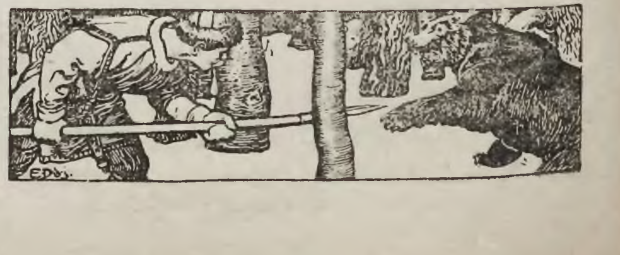
* * *

Poeta: Jeśli się nie mylę, zna pan ostatni mój dramat; czy mógłbym więc prosić o wydanie szczerego sądu o jego wartości?

Krytyk: Hm... mój panie, mówiąc otwarcie, przed dwoma laty miałem o panu lepsze wyobrażenie, niż obecnie!

Poeta: Ależ panie! — ja w owym czasie jeszcze wcale nie pisałem wierszy!

Krytyk: Właśnie dlatego!



We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

13 (Ciąg dalszy).

Helena nie zauważyła nawet, że podczas tej rozmowy pokojówka kilka razy przechodziła przez salon i spoglądała na nich bardzo ciekawie. Zauważył to Cezar i właśnie, gdy dziewczyna znów ukazała się w salonie, żegnając się szeptem z kuzynką, pocałował ją dość poufale w rękę. Na dziś ten krok naprzód wysta.czał mu zupełnie...

Helena od pewnego czasu chodziła sama codziennie na przechadzkę, która była jedyną jej rozrywką. Ale młode dziewczę unikało miejsc spacerowych, gdzie oczy inteligencyi goniły ją ciekawie i chętnie zapuszczało się w drobne wązkie uliczki, zamieszkałe przez ubogą ludność, która jej wcale nie znała i wcale się nią nie interesowała.

Pewnego razu na jednej z tych uliczek, któremi codziennie niemal przechodziła, zauważyła jakąć dwunastoletnią, wcale obszarpaną dziewczynkę, która zabiegała ją z różnych stron tak, jakby chciała jej coś powiedzieć. Helenka myśląc, że dziecko chciałoby ją poprosić o jałmużnę. zawołała dziewczynkę i przyjaźnie zapytała, o co jej chodzi. Dziecko z jakąś obawą spojrzała jej w oczy i wyszeptało trwożliwie:

— Stary Najpert prosi bardzo, żeby go pani odwiedziła! On ma pani coś bardzo ważnego opowiedzieć!...

Najpert?! Helena nigdy nie słyszała tego nazwiska i zaraz zwróciła dziewczynce uwagę, że się musiała omylić, że Najpert zapewne kogo innego miał na myśli, ale dziecko przecząco potrząsnęło główką:

— Nie! nie! stary zawsze siedzi przy oknie i widzi, jak pani tędy przechodzi! Już wczoraj posłał mnie po panią, ale potem zaraz zawołał mnie napowrót, ale dzisiaj gorzej mu się zrobiło i cały dzień płacze, bo lęka się, że pani nie przyjdzie do niego! Niech pani go odwiedzi dzisiaj zaraz! Staruszek się tak ucieszy!...

Helena zawahała się. Kto wie, czy to nie chcą jej zwabić podstępnie do jakiejś pułapki i zamordować? Ale dziewczynka, choć obdarta, miała poczciwą minkę i z takiem współczuciem wspominała o chorobie Najperta, że wnet podejrzenia jej ustały. Stary, chory człowiek, ubogi, potrzebuje zapewne jej pomocy. Tak pomyślała Helena i kazała dziewczynce zaprowadzić się do mieszkania Najperta. Dziecko wprowadziło ją do jednego z najbrudniejszych domostw, weszło na wązki kurytarzyk, otworzyło drzwi od jakiejś izdebki i zawoławszy: „To tu, proszę pani“, uciekło samo prędziutko.

W izdebce rozległ się suchy kaszel i ktoś odezwał się drżącym, zachrypniętym głosem:

— Proszę, bardzo proszę, niech pani będzie łaskawa wejść do środka. Nie mogę sam wstać i pójść przywitać panią, ale przez wzgląd na moją chorobę, może mi pani przebaczy!...

Helena weszła bez wahania do izdebki i zamknęła drzwi za sobą Skromnie tu było i ubogo, ale tak schludno, tak czysto, że aż przyjemnie było spojrzeć.

W wyplatanym z łoziny fotelu, wsparty na kilku poduszkach, siedział siwobrody starzec w ciemnych okularach. Helenie zdawało się, że widziała już gdzieś tego człowieka i dopiero gdy starzec skinął jej głową z wielkim szacunkiem, przypomniała sobie, że to był ten pisarz, który otwierał jej drzwi, gdy była z wizytą u cenionego adwokata. Jakieś nieprzyjemne uczucie ogarnęło ją i już chciała się cofnąć, gdy starzec dostrzegłszy to widocznie, odezwał się błagalnie z wielkim wysiłkiem:

— Pani mnie poznaje, panno Springer! Dwa razy otwierałem pani drzwi, gdy byłaś z wizytą u swego opiekua, tego Harrasa. Ja byłem u niego pisarzem trzydzieści lat! całe trzydzieści lat — dodał z naciskiem.

— Przypominam sobie! — rzekła chłodno Helena — i zapewne masz pan jakieś zlecenie do doktora Harrasa! Proszę, mów pan, ja panu chętnie to załatwię.

Starzec skinął przecząco głową.

— Nie! nie! ja do niego nie mam żadnego zlecenia! ja już więcej nie pokażę się w jego biurze! Ja lada chwilę umrę!

I Najpert westchnął ciężko. Helena miczała, nie wiedząc w jaki sposób by go pocieszyć, a starzec wskazał jej stojące obok niego krzesełko.

— Usiądź pani! Chcę ci powierzyć tajemnicę, ważną tajemnicę, którą kryłem zazdrośnie przed wszystkimi, pewny, że doczekam się chwili... że zemszczę się na wieki! Niestety umieram nie pomszczony. Przysuń się pani bliżej, bo ciężko mi mówić! Nie odmawiaj mej prośbie i wysłuchaj mnie, bo to co ci powiem zarówno ciebie jak i mnie dotyczy! Opaczność sprowadziła cię w tę stronę! Sam Bóg nie chce, żebym uniósł do grobu mą tajemnicę!...

Helena przysunęła się do starca i z trwogą spoglądała na jego bladą twarz, w której widać było walkę, jaką wola staczała ze słabym organizmem.

— Dwadzieścia sześć lat czekałem na moją zemstę — jęknął Najpert — spokojnie cierpliwie, a jednak czekałem napróżno! Nie udało się! Marzenia i sny mnie zawiodły!...

Gorączkowy rumieniec wykwitł na jego licach: chwilę oddychał ciężko, a potem zaczął dalej mówić:

— Pani nie ma do mnie zaufania panno Springer! ja to widzę! pani myślisz, ze ja należę do tej bandy, w której sidła ty wpadłaś tak, ongiś twój biedny ojciec! Ale możesz zamienić swe zdanie, gdy ci powiem, że twój stryj Franciszek zamordował moje jedyne, najukochańsze dziecko, a twój opiekun doktor Harras, któremu trzydzieści lat służyłem, czekając tylko na chwilę sposobną do zemsty, zatruł mi całe moje życie!...

Helena słuchała tych słów ze zdumieniem i sama nie wiedziała, co robić: czy słuchać tych strasznych oskarżeń jej krewnych, od których nie mało już sama wycierpiała, czy opuścić pokój tego starca, ale nadzieja, że z ust jego posłyszy choć coś na obronę swego ojca powstrzymała ją na miejscu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

6 (Ciąg dalszy).

III.

Pieśń miłości.

W środkowej komnacie domu Toja Takiszige spoczywa Matsnura Koszira Morizane. Nawet na łożu boleści młodzieńca prześladuje myśl o porażce jego pana.

Pragnienie powrotu na plac boju żyje w jego sercu.

Gdy Koszira przyjdzie na tyle do siebie, iż będzie w stanie naciągnąć łuk, ujdzie pokryjomu z domu wuja swego, gdyż inaczej nie puszczą go! I wtedy pójdzie na spotkanie potężnego wroga.

W czasie ostatniej potyczki wyszedł z lasu rycerz w uzbrojeniu wspaniałem. Przejęty zapałem wojennym, Koszira nie zdążył zapytać go o imię. I rozpoczęli walkę. Wróg walczył długim mieczem, Koszira zaś — halabardą.

Lecz żołnierze rozłączyli ich. Walka pozostała nierozstrzygniętą i to dotychczas gnębi Koszira.

Kto jest ów rycerz? Co za moc posiadał jego miecz? Jeśli przeznaczonem jest umrzeć Koszira, pragnie on zginąć z ręki takiego rycerza. Wróciwszy na wojnę, pragnąłbym spotkać tego odważnego nieprzyjaciela i walczyć z nim tak, iżby wieść o tej walce rozeszła się daleko. Nadzieja spotkania pocieszała Koszirę na łożu boleści, uśmierzała ból ran, zmniejszała niecierpliwość, wywołaną długiem leżeniem. Gdy ból przemagał cierpliwość chorego, zgrzytał zębami i jęczał.

Oto wszedł ktoś do jego pokoju i rzekł szeptem:

— Panie Koszira.

Koszira wzniósł oczy i rzekł:

— O, Soszino!

— Jak się czujesz, Koszira? Matka bardzo się o ciebie niepokoi.

— Serdecznie dziękuję — odrzekł chory. — Gdzież jest ciotka?

— Codzień chodzi do świątyni i modli się o twe zdrowie. Wróci pewnie wkrótce.

— Jakto? Codzień chodzi do świątyni? — zawołał Koszira.

Łzy stanęły w jego oczach. Soszino podeszła ku niemu i przesunęła miękkim rękawem po jego oczach.

— Twarz twoja bardzo blada dzisiaj. Czyż rany twe wciąż jeszcze sprawiają ci taki ból?

— Nie — odrzekł Koszira — jest mi coraz lepiej. Nie umiem dostatecznie podziękować ci za twą opiekę.

— Mówisz tak, jakbyś nam był obcy — rzekło dziewczę.

— Jesteś w domu; możesz zażądać wszystkiego, czego tylko zapragniesz.

Koszira rzekł:

— Wzrusza mnie bardzo, iż ciotka przeze mnie codzień chodzi do świątyni. — Potem spojrzał w twarz Soszino. — Słyszałem, żeś długo chorowała?

Ona odrzekła:

— Ja? Czyś wiedział o mojej chorobie?

W słowach tych brzmiał łagodny wyrzut. Pięknym jest kwiat łopuchu, lecz łodyga jego rani kolcami. Dotykać się go nie wolno.

— Wybacz mi.

Ona zaś rzekła:

— Życzę ci szczęścia.

Smutna odpowiedź! Cóż znaczy życzenie szczęścia człowiekowi w położeniu Morizane! Doznał wielu nieszczęść.

Porażka, rany, łoże boleści, otrzymał wszystko, co rycerzowi jest nienawistne.

Koszira nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Soszino ciągnęła dalej:

— Słyszałam, żeś się ożenił.

Słowa te wpiły się w serce jego, jak zatruta strzała. Wzdrygnął się; żyły mu nabrzmiały; serce zakołatało. Co dziewczę powie jeszcze?

Soszino ciągnęła dalej:

— Koszira, twierdzą, iż wierność kobiety względem męża jest bardzo ważna. Czy to prawda?

Słowa te były kwiatami pośród cierni.

Morizane odrzekł ze zdumieniem:

— Tak, żona powinna dochowywać wiary mężowi; nie powinna powtórnie pójść za mąż. Mężczyzna zaś nie powinien służyć drugiemu panu...

Głos mu się załamał.

Soszina była zdumioną.

— Co mówisz? Czym ciebie zmartwiła? Nie chciałam tego. Kobieta nie powinna należeć do drugiego mężczyzny, a mężczyzna? Czyż ma on prawa posiadać wiele kochanek?

Pytanie to zadała mu, by zatrzeć przykre wrażenie. Troskliwość jej pełna była miłości; podejrzliwość zaś widziała w niej fałsz.

Jeśli Morizane odpowie twierdząco, zejdzie on z drogi cnoty. Mówiąc zaś „nie“, pójdzie drogą prostą, wyda wyrok na samego siebie.

Zamilkł na chwilę; potem, nabrawszy odwagi, rzekł:

— Mężczyzna również nie powinien zdradzać. Niewierny mąż nie stoi wyżej od rozpustnej kobiety. Rycerz nie powinien być niewiernym. Kobieta nie powinna zapomnieć męża; mężczyzna powinien zostać wiernym.

Soszino odrzekła:

— Ty wszystko wiesz dobrze.

W słowach jej zdawał się ukrywać wyrzut względem Koszira za to, iż ożenił się z drugą kobietą.

Ona zapytała:

— Czyś zapomniał o tem, iż jestem córką Tojamy Takenige.

Serce Morizana podobne jest do strzały; słowa Soszino podobne do zająca; zając ukazuje się, lecz zaraz znika w cieniach lasu i strzała nie może go dosięgnąć.

Morizano odpowiada:

— Jak mogłem zapomnieć, żeś córką Takeniga!

Dziewczę podeszło ku niemu i rzekło ze smutkiem:

Lecz zapomniałeś o tem.

— Czemu tak mówisz? — zapytał Morizane.

— Jeślim córką Takenige Sakonnomke, jestem narzeczoną Koszira Morizane. Moi i twoi rodzice pragnęli oddawna naszego związku. Czy to nieprawda, Koszira?

Złożyła głowę na łożu rannego i drżała ze wzruszenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Panna Ludwika.

Obrazek

skreślił *k. e.*

(Dokończenie).

— Ano, to niech się muchy ucieszą — odrzekł Tatara, wielce rad z dowcipu i położył bombonierkę na stole.

— Niech pan usiądzie tu, na tym stołku, bo tamten rozchwiany — odezwała się panna Ludwika, nie bez przyjemności ogarniając wzrokiem olbrzymią postać gościa.

Tatara usiadł na wskazanem krześle, wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je, nie pytając o pozwolenie. Cygaro służyć miało nie tyle do zaspokojenia nałogu, jak raczej do wypełniania dymem owych kłopotliwych nieraz chwil, w których urywa się nagle wątek rozmowy. Niektórzy ludzie ratują się w takich razach kaszlaniem, chrząkaniem, lub nawet ucieraniem nosa, pan Tatara jednakże, chociaż go stać było na potężne chrząkanie, wybrał cygaro.

— Panna Ludwika domyśla się pewnie, co mnie tutaj sprowadziło — przemówił po długiem wahaniu. — Wiadomo pannie Ludwice, że jako „werkfirer“ pobieram pięćdziesiąt reńskich miesięcznie, za roboty akordowe otrzymuję nieraz drugie tyle, jestem trzeźwy i nie gram w karty, a żem trochę gwałtowny, to nic nie szkodzi, bo w fabryce potrzeba czasami porachować robotnikowi kości.

Panna Ludwika milczała.

— Ja tam nie jestem żaden uczony i wierszami nie gadam — ciągnął dalej Tatara. — Ot, prosto z serca zapytuję: chce pani być moją żoną, czy nie.

Panna Ludwika przez długą chwilę zdawała się walczyć z onieśmieleniem, potem pochyliła swą wiotką postać ku niemu i wargami, z których wszystka krew zbiegła, wyszeptała:

— Niech mnie pan wysłucha...

Czy może być większe upokorzenie nad publiczną, głośną spowiedź? Tak — istnieje upokorzenie bez granic, gdy dziewczyna wyznaje swój błąd mężczyźnie, starającemu się o jej rękę. Panna Ludwika cichym, urywanym głosem poczęła opowiadać Tatarze dzieje swojego upadku, codzienne dzieje uwiedzionego dziewczęcia, które kochało i wierzyło, jak tylko wierzyć i kochać umie dziewicze serce. Śmiertelna bladość i krwawa łuna pokrywały naprzemian jej zbolałą twarzyczkę, ona jednakże pośród niewymownej katuszy mówiła bez przerwy, mówiła nagą prawdę, nie myśląc nawet o swej obronie.

Tatara słuchał, siedząc nieporuszony, tylko rysy grubego oblicza jego poczęły twardnieć, jak metal stygnący, wreszcie przybrały wyraz nieubłaganego okrucieństwa. Towarzysze w fabryce widzieli go raz takim, gdy stał nad zwłokami zgruchotanego przez maszynę robotnika, który był jego śmiertelnym wrogiem i współzawodnikiem.

Panna Ludwika skończyła swą spowiedź, a wówczas Tatara powstał i zabrawszy kapelusz i laskę, rzucił dziewczęciu w twarz tylko te wyrazy:

— To panna taka?... I panna śmie zawracać głowę uczciwym ludziom?

Następnie opuścił izdebkę, zostawiwszy drzwi otworem.

III.

Zmrok zapadał... Muchy spały już dawno w rogu sufitu, kwiaty zwiesiły swe gałązki, deseń na spłowiałej kołdrze niknął coraz więcej, a maszyna do szycia straciła połysk.

Panna Ludwika siedziała na krześle i przez otwarte okno patrzała w przestrzeń szeroko rozwartemi źrenicami. Wydawała się jakby ogłuszona silnem uderzeniem i ciągle w uszach jej brzmiały brutalne słowa Tatary:

— To panna taka?... I panna śmie zawracać głowę uczciwym ludziom?

Pomimo całej boleści odczuwała niemniej prostacką formę tego oskarżenia. A zresztą, czyż ona szukała kiedykolwiek towarzystwa mężczyzn? Przed kilku laty pokochała młodego chłopaka, bardzo dobrego, a jeszcze bardziej lekkomyślnego, pokochała prawdziwie i otrzymała w zamian splamioną cześć. Biedna sierota, sama jedna pośród mrowiska wielkiego miasta, poszła do stóp Chrystusa i jak robak zdeptany tarzała się w pyle, wołając o pocieszenie w utrapieniu serca. Pocieszył ją spowiednik, a trochę ukojenia dała jej praca.

I tak żyła z dnia na dzień, aż oto wpadła w oko Tatarze, który zaczął jej się narzucać i sam i za pośrednictwem swej rodziny, ona zaś unikała go, mimo odczuwanej dlań sympatyi, unikała właśnie z powodu fatalnego błędu. Mogła ukryć ów błąd, jak to uczyniła siostra Tatary, która wyszła niedawno za mąż — nie była jednakże zdolną do podobnej podłości. Odbyła jakby drugą spowiedź, pełną niezgłębionego upokorzenia, ale świat w osobie Jana Tatary potępił ją bez litości.

Godziny mijały a ona tonęła w chaosie myśli i uczuć. Rzucała pytania i daremnie czekała na odpowiedź. Więc ludzie już nigdy jej nie przebaczą?.. Więc już nigdy nie odzyska czci utraconej? Więc do końca dni swoich pozostanie taka samotna i taka wzgardzona w sieroctwie swojem? Rozpacz niezmierna przytłoczyła jej serce, a z piersi wydobyło się ciche łkanie.

Ale łkania jej nikt nie słyszał, podobnie jak nikt nie słyszy jęku łani, ginącej w puszczy leśnej pod kłami wilka. Bo i czemże, jeżeli nie puszczą jest wielkie miasto? Po obu stronach ulicy, w powodzi gazowego światła, płynęła fala ludzi, zajętych wyłącznie sobą, patrzących tem samem okiem na tramwaj, jadący środkiem ulicy, jak i na biedną staruszkę, potykającą się na nierównym bruku. Fala płynęła nieprzerwanie, a z tej fali odrywały się jakby cząstki rozpryśnięte, grupy ludzi i ginęły to w zakrętach ulic przyległych, to w sieniach kamienic, to w zwierciadlanych drzwiach kawiarń.

Do pokoju panny Ludwiki gwar i turkot, śmiechy i okrzyki wpadały nieco przytłumione, ale dosyć jeszcze wyraźne. Wpadały również w jej ucho, wywoływały podrażnienie nerwu słuchowego, nie dochodziły jednakże do jej świadomości, jak u istoty, pogrążonej w półśnie.

Nagle drgnęła, jakgdyby pod wpływem silnego wrażenia. Usłyszała potężny głos Tatary. Porwała się z krzesła bezwiednie, pobiegła do okna i wyjrzała na ulicę. Tak — to był Tatara. Stał w gronie towarzyszy i coś do nich mówił, widocznie podniecony. W świetle latarni wyglądał jak Herkules, który wypił za wiele lichego wina w podmiejskiej restauracyi.

Ludwika odeszła w głąb izdebki i czekała z bijącem sercem, spoglądając na drzwi.

— Może wróci do mnie? — myślała, poprawiając automatycznie włosy. — Może mnie przynajmniej przeprosi?...

Jakby w odpowiedzi, na dole zabrzmiała znana piosenka brukowa, którą zaczął śpiewać Tatara chórem z towarzyszami:

„Panna Ludwika kawę gotuje
I z każdym sobie poromansuje,
Gdyby nie było panny Ludwiki
Toby nie było polskiej muzyki“.

A kiedy skończyli ostatnią zwrotkę, Tatara zawołał:

— Panno Ludwiko! Proszę do nas na kawę!

Dziewczyna jednym skokiem, jakby lunatyczka, znalazła się na oknie, podniosła splecione ręce ku niebu, stała przez chwilę, słaniając się, potem runęła na ulicę.

Przyszła do niego...

KONIEC.

Chytry.

— Wyobraź sobie, kolega Jan wczoraj nagle utracił mowę!

— Co mówisz? Co prędzej wyprawię do niego moją żonę?

— A to po co?

— Kto wie? A może to.. zaraźliwe!

Osobliwe godło.

Zakochany profesor: A więc mogę się spodziewać listu pod cyfrą: „Wieczna miłość?“.

— Ależ zlituj się najdroższa, takie i tym podobne godła niechybnie zapominam, wiecznie zajęty memi wykładami. Najlepiej więc wziąć za cyfrę temat mój: „Rozwój i zwalczenie dżumy“.

Dystyngowana znajomość.

— Stach chwali się, iż ma przyjaciółkę z najwyższych sfer.

— I słusznie, bo kocha się w akrobatce!

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

I.

Pierwsza trzecia raz wysoka
Czasem znowu niską bywa;
Druga trzecia, gdy jest gruba
Nie tak łatwo się rozrywa.
Całość – choć jej w kalendarzu brak,
Ale kobieta zowie się tak.

II.

Druga wspak — to zamek;
Pierwsza trzecia trunek,
Całość – rzeźbiarz. Odgadnąć
Nie wielki frasunek.

III.

Pierwsza wspak zwyczajna głoska;
Druga (również wspak)
Znajdziesz wiele pośród dziewcząt,
Zgadnąć łatwo tak.
Trzecia rzeka to wspaniała,
Strumień wszystkim znan;
Całość – suknia, zawsze czarna.
Proszę! Zgadnij pan!

Łamigłówka.

		8	2	**1**	6	2		
	2	8	9	**2**	3	2	4	
		4	2	**15**	15	2		
			13	**16**	2			
			5	**13**	11			
		20	2	**8**	13	9		
		2	11	**12**	15	2		
			8	**18**	7			
	9	7	18	**16**	7	10	19	
		16	17	**6**	15	13		
5	12	11	15	**12**	6	2	9	7

W miejsce liczb wstawić litery tak, ażeby się utworzyły słowa: 1) Wytwór fantazyi. 2) Imię biblijne. 3) Pożywienie z nieba. 4) Owad. 5) Nazwisko poety. 6) Góra biblijna. 7) Imię kobiece. 8) Krzew. 9) Miasto w Galicyi. 10) Wyrób z wełny. 11) Rzemieślnik.

Środkowa, pionowo idąca linia, utworzy imię i nazwisko bohatera polskiego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya książkę p. t. **„Nowe humoreski“** Stasiaka.

Rozwiązania z Nru 33.

Rnbus: Gdy w gromnice z dachu ciecze,
Zima pewno się przewlecze.

Szarady: I. Kochawina. II. Watykan. III. Czereśnie.

Arytmogryf: Niezapominajka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. J. Ludkiewicz Kosów, M. Arbesbauer Lwów, Fr. Piotrowicz Ciężkowice, B. Ramułtowa Jeżów, St. Stoch Kraków, M. Cieślikowska Wieliczka, Z. Rokicka Stanisławów, R. Żabka Biała, Z. Ciechanowska Stary Sambor, J. Pasieka Łuska mała, K. Fuchs Peczeniżyn, K. Tomaszewski Miechocin ad Tarnobrzeg, M. Albiński Zwierzyniec, J. Malikowa Bolechów, K. Gadomski Tarnów, J. Duszyński Niepołomice, A. St. Bassara Niwiska, J. Badura Rożdzień, Czytelnia Tow. Szkoły Lud. w Kołaczycach, Dr. Dalnicki Stryj, L. Rogalski Mikulińce, M. Opolska Czarny Dunajec, Fr. Josefert Kraków, F. Domain Ssnok, A. Góralski Kalinowszczyzna, Al. Najkowski Łańcut, P. Ptaszkowski Nowy Sącz, J. Kwiatkowski Czerniowce, Z. Taborówna Prądnik Czerwony, H. Mokrzycka Turbia, W. Żralski Podgórze, K. Chodkiewicz Zbydniów, S. Rosner Lwów, J. Biegoń Ślemień.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. R. Żabka w Białej. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Zwracamy uwagę, że do losowania mają tylko prawo prenumeratorzy „Nowości illustrowanych“. Nie prenumeratorzy więc nie mogą otrzymać nagrody, chociaż dobrze wszystko rozwiążą.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

LEON GAŁEK

MAGAZYN I PRACOWNIA WYBOROWEGO OBUWIA

KRAKÓW BRACKA L.6.

7 10-22

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata caloroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Zbiór archeologiczny

(z czasów przedhistorycznych) do nabycia:

35 sztuk urn popielnicami zwanych, ozdoby bronzowe oraz żelazne w ilości 20 sztuk, narzędzia krzemienne jak: okrzeski (noże), groty do strzał, igły, szydła oraz przedmioty służące do niewiadomego użytku. Informacyi udziela właściciel zbioru

Alfred Dworski w Rudniku.

BIURO

NAUCZYCIELSKIE

Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling

Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego

poleca:

Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.

Firmy: F. & E. Zajączek i Lankosz

poleca: **sukna, sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki, filce dywanowe, flanele wstąpione, wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki.**

Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3, w **Krakowie**, Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtownej i drobiazgowej.

---

5 Kor. i więcej dziennego zarobku!

Towarzystwo robotników domowych roblenia pończoch.



Poszukiwani mężczyźni i kobiety do robienia pończoch na naszej maszynie. Prosta i szybka robota przez cały rok w domu.

Niepotrzebna żadna poprzednia znajomość. Odległość nie wpływa bynajmniej, a my sprzedajemy roboty wykonane.

„Hausarbeiter-Strickmaschinen-Gesellschaft“

Thos. H. Whittick & C., Prag, Petersplatz 7, I. – 281.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.

i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Do nabycia

2 Motory gazowe

(4 konny i 6 konny)

używane, w bardzo dobrym stanie.

Wiadomość w dziale inseratowym „Nowości illustrowanych“ w Krakowie, ul. Zacisze.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarzc) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

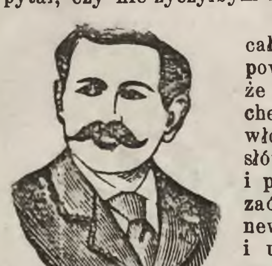
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre"
Lwów, Syksutska 6.

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze: **Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa.** Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu dniach była moja czaszka włosami całkiem pokryta.** Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołując się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT
Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

INSTALACYE i BLACHARSTWO

wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

Niema więcej cierpień rupturowych

dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.



Kolibry . . . od 1—2 złr.	
Papużki małe od 1·50—3	„
Papużki średnie od 4·50—7	„
Papugi duże . od 10—25	„
Papugi duże mówiące od 28	„
Kanarki herceńskie od 6	„

Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!



Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiała szkołę

Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Jak **ZA DARMO**

zegarek nikl. z napisem system Roskopf Patent z pięknym łańcuszkiem złr. 1·70, zegarek stalowy złr. 2·—, zegarek srebrny system Roskopf Patent złr. 4·—, zegarek złocisty system Roskopf Patent złr. ·50. Budzik świecący w nocy złr. 1·50. Zegarek złoty złr. 9·—. Łańcuszki srebrne od złr. 1·—. Gwarancya 4-letnia. Wrazie niespodobania się, wymieniam bez trudności na inny przedmiot. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam odwrotną pocztą.

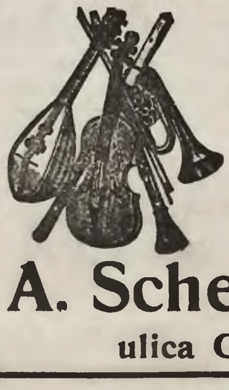
S. Zahn, Kraków, Floryańska 31.
Dostawca związku ck. urzędnik. państwow.



Ną żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow.** **zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.

Wdowa

po Leonie Wieczorkowskim zawiadamia Szanowną P. T. Publiczność, iż będzie nadal prowadziła pracownię tapicerską wraz z synem,
ul. Mikołajska l. 16
N. WIECZORKOWSKA.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator"
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
- Wykazy wolnych posad i zajęć.
- Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
- Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
- Wykazy letnich mieszkań.

Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.

Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



URZĄDZAM
Dzwonki elektryczne i telefony
z gwarancyą roczną
po bardzo niskiej cenie
pracownia mechaniczna
Stanisława Leśniakowskiego
ul. Grodzka l. 48, obok kościoła św. Piotra.

Kamienica piątrowa

na Grzegórzkach, z ogrodem, w którym wiele drzew owocowych — do sprzedania z wolnej ręki. — Bliższych wiadomości udzieli właściciel Jan Woźnicka, Grzegórzki 57.

CUKIERINA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.